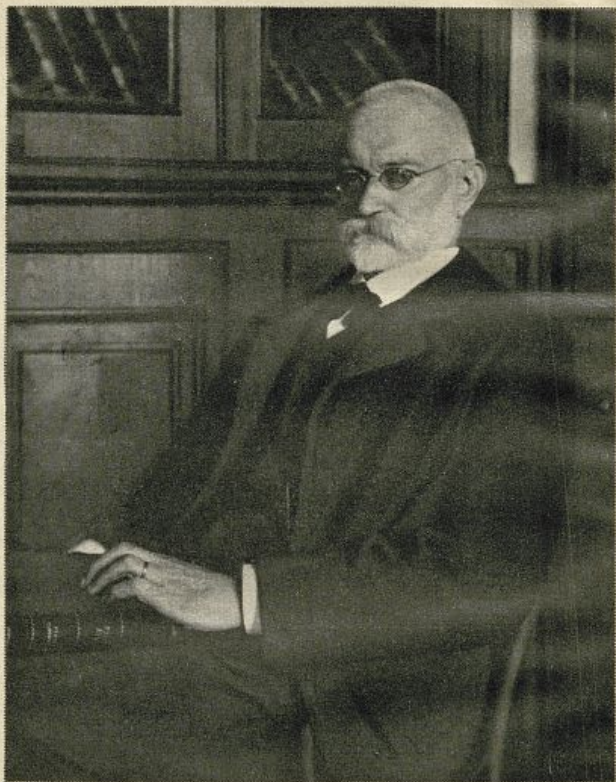


xxx 2. —

LIEDERBUCH ++



DR WOJCIECH KĘTRZYŃSKI
DYREKTOR ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
ur. 11 lipca 1858 w Lecu, um. 15 stycznia 1918 we Lwowie

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

AUS DEM LIEDERBUCH
EINES GERMANISIERTEN

1854 — 1862

*Glauben, Sprache konntet ihr mir nehmen,
Doch mein Herz nicht aus dem Busen reißen,
Und mein Herz blieb immer, immer polnisch!*

WSTĘP

TADEUSZA CZAPELSKIEGO



LWÓW
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1938

25-

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN
WOJCIECHA KĘTRZYŃSKIEGO

1838 — 1938



558146

558.146 I

WYDAWNICTWO
Zakładu Narodowego im. Ossolińskich

№ 192.

600 58

Z Drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich
pod zarządem Franciszka Kadłeca

1948-D-635

REWINDYKATOR POLSKOŚCI

NAPISAŁ

TADEUSZ CZAPELSKI

I

Pisany był wielki rok 1918, gdy śmierć zabrała spośród nas co najprzedniejszych pracowników na niwie historii. Zgasł właśnie jak wypalona do dna lampa Tadeusz Korzon, niemal po święcie jubileuszowym odszedł cicho, cichy też i za żywota Ludwik Kubala, wieści o traktacie brzeskim nie wytrzymał gorący Wincenty Zakrzewski — wszystkich ich zaś wiedzie w krainę cieniów, zaiste przed czasem, nestor Wojciech Kętrzyński. Bo należała się im przecie nagroda nad nagrodami: wolna Polska, dla której każdy z pomienionych już o poranku dni swoich stawał bądź orężnie, bądź z równą odwagą w robocie spiskowej, czy też zaszczytnej rangi patrioty dosługiwał się na wygnaniu albo w kazamatach.

Wojciech Kętrzyński! Wszakżeż to fragment tragedii porobiorowej, to dzieje duszy skradzionej podstępnie Narodowi i jakby „cudem wracającej na Ojczyzny łono“. Kiedy szczęśliwszych karmiły piersi matek polskich — on od mowy, myśli, nazwiska, zdobywać musiał wszystko sam, w otoczeniu zgoła wrogim, o głodzie i chłodzie, wśród szyderstw i nękań, ofiara systemu, później z zruceniem skóry obcej wręcz ofiara gniewu Żelaznego Księcia! A jednak, niezłomny, wszelkie pokona przeciwnictwa, ocali ród i siebie, wzgardzi liczmanem germań-

skich obietnic, poszuka chleba w dzielnicy swobodniejszej i tutaj zbożną, umiłowaną obarczy się pracą, by w niej niejednokrotnie, a zawsze ku prawdzie, dla uświadomienia i przestrogi świata zdzierać maskę z twarzy kłamców, fałszerzy, najchciwszych zaborców.

Kętrzyński-dziejopis ma w nauce naszej poczesne nader miejsce. Krzesło senatorskie Akademii konferowano mu rychło, niemniej zasłużenie. Zasłynął również za granicą, licznych instytucyj członek zwyczajny i honorowy.

Ktokolwiek roztrząsać będzie wspaniały badacza dorobek, pewno nie przeoczy, że obudzone nagle uczucie narodowe wyraziło się już w wyborze tematu dysertacji doktorskiej Kętrzyńskiego i że wytrawny niebawem znawca średniowiecza Polski i przeszłości Słowiańszczyzny zaczynał od znamiennych „Die Lygier“, gdzie udowadnia Niemcom prabyt Słowian na ziemiach pomiędzy Wisłą a Łabą, identyczność Lygiów z Lechitami.

Odtąd, przysłowiowym benedyktynom podobny, podejście trud ciągly, nie na zwykłą miarę, w mnogich a celowych pójdzie kierunkach.

Mówiąc o nim jako o wydawcy zauważa nie bez podziwu Władysław Semkowicz, iż „żaden z uczonych polskich nie zwiedził tylu archiwów, nie przejrzał tylu kodeksów, co Kętrzyński“. Znacznej statury, przyciężki nieco człowiek, wspinał się on mimo to na strychy, czółgał po piwnicach, zakamarkach klasztorów i bibliotek całej Rzeczypospolitej, aby odnaleźć tam szczątki najdawniejszej polszczyzny, uratować od zagłady ginące pomniki! Wróciwszy zaś z podróży brał się natychmiast do studium, chociaż lichy wzrok często mu bruździł, choć związana z ścianami pracowni ślepotą Szajnochy mogła

odstraszyć nawet śmiałka. Paleograf znakomity, przy wrodzonej bystrości, rosnącym doświadczeniu, ogłaszał rok za rokiem przecenne źródła historyczne, mroki dziejowe jasnym obrzucał światłem.

W pracach konstrukcyjnych, wiadomo, analityk sumienny, wnikliwy, o sędzie śmiałym, na pewnym gruncie opartym, uczynił się Kętrzyński szczególnie głośnym z publikacyj odnoszących się do Prus polskich i Pomorza. Wymieńmy z nich tylko: „Nazwy miejscowe Prus Zachodnich i Wschodnich wraz z przewiskami niemieckimi“ i „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich“. I rzeczy te właśnie, owo dokonane mistrzowską ręką ustalenie granic polskośći na Pomorzu, dalej rewelacyjne odkrycia matactw i fałszerstw Zakonu przeczytali krytycy, uznała społeczność nie li za suche rozprawy naukowe, ale jako „czyn narodowy, niemyłne świadectwo praw naszych na Zachodzie i Północy“.

W ogłoszonej dwukrotnie broszurce pt. „Pisma“ zdaje on sam rachunek wiernej służby Ojczyźnie i nauce. Tedy od r. 1865 z fortunnym debiutem na łamach „Dziennika Poznańskiego“ widzimy do r. 1917 tytułów 245, — w tej zaś liczbie, obok dzieł fundamentalnych, studia historyczne, z archeologii, heraldyki, etnografii, rozprawy, przyczynki (bywa bez syntezy, lecz o nowym materiale), wreszcie recenzje w 38 czasopismach, bądź osobno wydane. Jest więc przed czym uchylić czoła i pokłonić się nisko za ogrom znoju, erudycji, wszechstronnych zainteresowań i dociekań uczonego w każdym calu i Polaka.

A zaraz nadmienić wypadnie, że na plon ów bogaty złożyły się prace przedsiębrane przeważnie w Zakładzie Narodowym imienia Ossolińskich, któremu Kętrzyński

od r. 1871 poświęcił najlepsze siły swoje, początkowo jako sekretarz naukowy, później kustosz i wreszcie dyrektor, autor „Katalogu rękopisów“ i pierwszej monografii Instytutu.

Tu, na powierzonym z ufnością posterunku, zawsze pierwszy i ostatni w murach, stał by czujny żuraw, zdarzyło się, i lękowi niedostępny, owszem, mężny w obliczu chwilowych okupantów. „Stary, siwy pan w dużych okularach, o głowie z obrazu Dürera“ — jak go maluje trafnie Stanisław Wasylewski — u obcych wzbudzał respekt, swoi zaś wyczekiwali, gdy się ku nim uśmiechnie dobrotliwie, wyciągnie przyjacielsko prawicę i powita nieodmiennym: „Proszę pana“.

I tak prawie przez pół wieku wzór obowiązkowości, przywiązania ku Instytutowi, zespolony z nim będzie także niemalym rozwojem biblioteki, działu czasopism i rękopisów, monet i medali, melioracjami według nowocześniejszych wymagań. Do rad i wskazówek skory, nie szczędził ich nigdy pytającym. Sympozjony z nim w pauzach zachowują pewno w pamięci pokolenia tzw. stypendystów, młodszych urzędników, tacy uprzywilejowani: Wilhelm Bruchnalski, Juliusz Kleiner, Ludwik Bernacki, że się przytoczy tych tylko.

Wszakże miał inną jeszcze „klientelę“. Rewindykator polskość kresów zachodnich i rodziny własnej, odniemczał też zgłaszających się doń wszelakich *von* i *zu* z nazwiskami nagiętymi do brzmienia germańskiego albo z nalotem niełatwym do odkrycia. On był ich patron ideowy, heraldyk i chrzciel. Skąd zaś szli tutaj listownie, osobiście, ci dygnitarze wojskowi *ausser Dienst*, radcy różnych kategorii, „posiedziciele“, karmazyny

i szaraczki, przeważnie ludzie starsi, dociec teraz trudno. Żył chyba w tradycji ów Albert von Winkler i jego bój z samym Bismarkiem o Wojciecha Kętrzyńskiego? Korespondencja, niezwłocznie niszczone, obfitowała w fakta przemian wprost nieprawdopodobnych, w odgłosy atawizmu wstrząsające. A nasz Kętrzyński ważył sprawę każdą skrupulatnie, herbarze studiował, zwracał się cierpliwie tu i tam z kwerendami, w podróży naukowej jak dla siebie szperał po kancelariach i archiwach, aż wreszcie mógł poszkodowanemu oznajmić stanowczo: „jesteś Polak, z nawiskiem o końcówce na „ski“, herbem i dokumentami potwierdzonymi przez regencję“.

Z jakąż szlachetną radością okazał raz list generała * * * z wykaligrafowanym *post scriptum*: „barzo dziękuję“.

— To moje dzieło! — rzekł prawie niedosłyszalnie pomnożyciel polskość.

II

W puściźnie manuskryptowej Kętrzyńskiego znalazł się pamiętnik opatrzony napisem: „Z dziejów mojej młodości“.

Z ust autora słyszano, iż rzecz ta nosiła właściwie tytuł: „Jak zostałem Polakiem“, że wracał do niej kilkakrotnie, kartki gotowe odrzucał, zanim około r. 1908 zapewnił utworowi formę ostateczną.

Policzmyż stronicę manuskryptu w formacie *quarto* z dużym marginesem. Jest ich 26, wypełnionych pismem wprawdzie bardzo wyraźnym, ale i drobnym bardzo, o dukcie charakterystycznym. Oczu „zmarnowanych“ już



na ławie szkolnej nie polepszało z laty ślęczenie nad pomnikami średniowiecza z mnóstwem *abbreviations*.

I na tych to 26 stronicach daje nam Kętrzyński spowiedź z młodości swojej, dziwnie prostą i szczerą, odsłania ów cud ewolucji duchowej, mało znany, przecie wart upowszechnienia. Zastanowić się mogą nad tym zarówno historyk, myśliciel nasz, badacz czasów niewolnych, jak i psycholog czy artysta. Drugi Sienkiewicz, obyż się rychło pojawił, weźmie z pietyzmem tę rudę i przetopi na złoto.

Rzeczona osobliwa prostota i szczerłość, udzielająca się bezpośrednio wrażeń nakazują tu niemal powstrzymanie się od sądu, komentarzy. Po cóż zresztą tracić słowa, gdy czytelnik, wciągnięty w krąg opowiadania i pozornie szarych przeżyć narratora, wnet domówi sobie, odczuje wszystko sam i już chyba nie zapomni, jak Kętrzyński „został Polakiem“. I jeszcze, uległszy wielu stąd refleksjom, dojrzy znów ku smutkowi, że Mazury pruskie, modlące się po polsku z książek drukowanych szwabachą, one, tak nam bliskie, odgradza zawsze od Macierzy fatalna zapora!

Z przywiedzionych wyżej racyj czytelnik przyjmie i styl pamiętnika, bez ozdób, kronikarski, wybaczy nie jeden germanizm, a w zamian cieszyć się będzie tym, jak niemczony chłopiec nie zapomina okrzyku polskiego Mazurów: „Dó ryb, dó ryb“; jak chlubi się prawie sygnetem herbowym, kontuszem dziadka; jak zapewnia, że ojciec językiem polskim „władał wszechstronnie“ i mimo służbę wojskową, „baczki à la Fryderyk Wielki III lub IV“, rad gawędził o Polsce, ba, nucił „Jeszcze Polska nie zginęła“; jak obrazki z życia Napoleona, w domu są-

siada, miały dla malca „wielki urok“ i jak „rozumiał coś po polsku“, skoro chciwym uchem łowił opowieści polskie sługi-weterana o Kościuszcze.

Niestety, możny wpływ środowiska odbije się zaraz na podrostrku. „Nr 402“ w trzeciej kompanii Zakładu Sierot Żołnierskich w Poczdamie, wkrótce „podoficer z talarem miesięcznej pensji“ i kapitan *d'armes*, „robił sobie zarzuty“, że nie śpiewał dość radośnie: „*Ich bin ein Preusse, kennt Ihr meine Farben*“, „sekundaner“ gimnazjum w Rastemborku jest jeszcze Niemcem, nawet „patriotą“. Błyskawicą i piorunem, który strzaskał, rozwalił cały sztuczny gmach niemieckości Winklera, staje się list uświadamiający siostry. Trudno zaś prościej, lakoniczniej, a przez to silnie przedstawić ów najpotężniejszy moment w życiu. „Po przeczytaniu słów tych zaszedł nagle przewrót w umyśle moim i w mym sercu: przypomniałem sobie swoje polskie nazwisko, opowiadania ojca i jego życzenie, abym się nauczył po polsku, jednym słowem, uczułem, że jestem Polakiem“.

„Według mowy Niemiec“, folgujący teraz wezbranej polskości w strofach niemieckich, spotyka na nowej drodze ciernie. I rycersko rozprawia się gimnazjalista „Anakreon“ z panną Minną Gudovius (symptomatyczne, że już wówczas odsłoni w niej Gudowską!), która niepoczciwie dotknęła go w najdrażliwszym punkcie. Śladów naturalnego konfliktu z matką, twardą Niemką, lecz kochaną i czczoną, niewiele w pamiętniku. Dostrzeżemy natomiast rzewny rys troski i żalu syna za zgotowane „mamie zmartwienie“ i „zawiedzione jej nadzieje“. Starzec ozywa się tu jak dziecko i jest tym piękny.

Poradźmy też czytelnikom wrodzonej Kętrzyńskiemu powściągliwości pióra nie utożsamiać z chłodem. Nie wybucha on nigdy, ale w spokoju domyślać się pozwala, jak czuje gorąco. Raczej dumny zawoła kiedyś:

Vor keinem beug' ich mein stolzes Knie,
Und wär's auch der mächtigste König —

jednak na kolana te padnie przed Polską, da się unieść prądowi, co więcej, sam z nim popłynie ochoczo na pole walk o niepodległość, uzaćni się godnością „więźnia stanu“ i opuszczając fortecę kłocką powie znowu bez frazesu, lapidarnie: „Otrzymałem zatem i rządowy patent na Polaka“.

Szkoda, że pamiętnik urywa się niespodzianie. Kętrzyński jakby się teraz śpieszył, traktuje ważkie epizody, np. powstańczy, ledwie mimochodem. A przecie odegrał w nieszczęśliwym r. 1863 poważniejszą rolę.

Chcąc bowiem „stwierdzić polskość swoją czynem“ nie uchylił się od misji przewiezienia do Wilna papierów rządu francuskiego z zapytaniem o stan rzeczy na Litwie. Krwawy Murawjew nie znał pardonu, więc sprawa była gardłowa. Kętrzyński wiedział o tym dobrze, ale „młodość nie pyta, gdy widzi cel przed sobą“. Pojawił się w Wilnie w żałobnym dniu powieszenia Siemakowskiego, posłannictwo spełnił co do joty, oczekując zaś na odpowiedź konspiracji „studiował historię w bibliotece“.

Powiodło mu się „niezgorzej“ i nawiązanie stosunków z oddziałami Kurpiów, sformowanymi w Myszynie. Potknął się dopiero w Olsztynie „skutkiem zdrady niegodnego człowieka“. Trzyletnie więzienie w Moabicie,

potem w Kłocku, przetrwał z stoicyzmem. Tutaj też postanowił oddać „całe życie sprawie, która uświęciła mu młodość“.

Szczegóły te, dopełniające, zawiera publikacja pt. „Ostatnie słowa“ (przedruk z „Kroniki Powszechnej“ r. 1913), wydana w 50 rocznicę powstania z autoreferatami uczestników (str. 78—80).

Gdybyż pamiętnik bodaj potrafił o dalsze etapy: zmagania z Niemcami, borykanie się o jutro? Pono rząd pruski łudził Kętrzyńskiego katedrą uniwersytecką, ale za cenę mizernej submisji. Za czym bez prawa do służby rządowej, zarabiał skromnie guwernerką, tułał się po bibliotekach. Zyskawszy protektora w Janie Działyńskim z Kórnika, przygotował tam do druku IX tom „Tomicianów“ i niedługo przeniósł się do bezpieczniejszej przystani, do Lwowa, już na lato, jesień i zimę dni swoich.

Pamiętnik ten nie jest literaturą. To jakby, powtórzmy, dokument, świadectwo, najdokładniejsze odbicie czasu i człowieka. Skreślony z dusznej potrzeby, niechajby był nie tylko relikwią dla syna, lecz i na wiek późny przysłużył się sprawie bijącą z kart tych wola, hartem i miłością.

III

Z DZIEJÓW MOJEJ MŁODOŚCI

„W pierwszej połowie wieku XIX Lec (Lötzen w Prusach Wschodnich) był małym miasteczkiem, leżącym na północnym, wyższym brzegu jeziora Lewiętyna. Głów-

nym korpusem miasteczka był rynek obszerny, z którego w kierunku wschodnim wylaniała się krótka a szeroka ulica, zwana wówczas powszechnie Margrabowską; ku zachodowi aż do kanału, łączącego Jeziora: Węgorborskie i Lewiętyn, ciągnęła się tzw. Wola (Freiheit), a w kierunku północnym łączyła się z rynkiem tzw. Wioska; całą zachodnią część rynku zajął ratusz, dziś podobno już nie istniejący, w którym mieściły się także sąd i więzienie; w stronie wschodniej znajdował się kościół, budowa brzydka, dziś zastąpiony nowym domem bożym. Za domami, mianowicie strony północnej, stały rzędy stodół. Za kanałem wznosił się stary zameczek krzyżacki z parkiem. Niższy brzeg jeziora, narażony na wylewy, był tu i owdzie moczarowaty — gdzie dziś dworzec kolejowy, ślizgały się nieraz dzieci porą zimową — pomimo to piaszczysta ścieżka dosyć szeroka pozwalała przechadzać się nad samym jeziorem.

Z miasta był ładny widok na wielkie zwierciadło jeziora, na którym wówczas suwały się tylko czółna rybackie i czasem tratwy. Pierwsza próba z większymi „batami“ nie udała się, jak się zdaje, albowiem przypominam sobie ruderę takiego okrętu rzuconego nad samym brzegiem. Nad jeziorem leżał niedaleko od miasta majątek Bystre; w kierunku południowym ledwie widziana była wieża kościelna wsi Rydzewo, a na bliższym brzegu zielenił się lasek należący do wsi Strzelic. Nad samym cyplem zachodnim w kierunku ku stawowi Popówka leżały góry piasku latającego, zasypującego powoli dno jeziora, tak że przez jego wodę można było później przeprowadzić tor kolejowy. Wydmny piaszczyste, po których nieraz łąziłem, znikły już zupełnie, na ich miejscu stoi

dziś forteca im. generała v. Bogen, pochodzącego z szlacheckiej rodziny kaszubskiej Bojanów.

Miasteczko miało wówczas jeszcze charakter osady rolniczej, gdyż niemal każdy dom posiadał odpowiednią ilość roli.

Miasteczko to, z początku szczerze polskie, zaczęło już wówczas tracić swój charakter narodowy; w szkole miejskiej uczono już tylko po niemiecku, w wiejskiej skasowano język polski w r. 1895. Pomimo to starsza generacja mówiła jeszcze wszędzie prawie wyłącznie po polsku. Rybacy, powróciwszy z połowu ryb, nawoływali mieszkańców po polsku: „dó ryb, dó ryb!“ Przy moście nad kanałem były tablice ostrzegawcze: „pomału“, a w lesie miejskim pouczał napis, że to „zagajenie“. Kursowały wówczas w mieście grosze polskie, które były przyjmowane na równi z monetą pruską.

W dzień targowy bywał wielki ruch na rynku, gdy ze wsi okolicznych Mazurzy zjeżdżali się ze swoimi towarami, a że mało kto z nich wówczas umiał po niemiecku, przeto każdy Niemiec zmuszony był znać przynajmniej kilka frazesów polskich.

Na samym końcu ulicy Margrabowskiej, tuż przy cmentarzu, stał niski domek o dwu mieszkaniach, każde po dwa pokoje. Od strony cmentarza mieszkał gospodarz, rzeźnik Gut; drugie mieszkanie zajmowali moi rodzice. Na podwórzu była rzeźnia oraz stajnia, obora i chlewy; za nimi pole aż do stodoły, a za nią w pewnym oddaleniu wiatrak; obejście to oddzielał od cmentarza płot niezbyt wysoki, na którym lubiłem siedzieć i marzyć.

Ojciec mój, Józef Kętrzyński, był Polakiem i katolikiem, matka moja, Eleonora z Rabów, Niemką; ojciec

jej był dzierżawcą w dobrach hr. Golza w Nowej Wsi, czyli Tessendorf, niedaleko Susza, gdzie ojciec stał załogą.

Dla dokładniejszego zrozumienia tego, co następuje, należy umieścić tu kilka uwag o moim dziadku i ojeu.

Dziadek mój, Wojciech *alias* Olbracht lub Albert i także Adalbert Kętrzyński herbu Cietrzew *alias* Birkhahn, dwa razy był żonaty; z pierwszego małżeństwa pochodzili: jeden syn, Jan Marcełi, urodzony r. 1772, który, r. 1800 wstąpiwszy do wojska austriackiego, umarł kapitanem r. 1831 we Lwowie, oraz 5 córek, które wszystkie wyszły za mąż. Drugi raz ożenił się dziadek mój z Magdaleną Lewald Jezierską, sędzianką tucholską, z którą zamieszkał w Łączynie (Łączyn); majątek ten nabył r. 1796 od Jana Tokarskiego za 12.500 talarów. Tutaj urodził się mój ojciec d. 21 września r. 1801.

Ojciec mój miał liczne rodzeństwo, a mianowicie 4 braci: Karola, starszego, a młodszych: Michała, Ignacego i Wojciecha Leopolda, który umarł w młodym wieku, oraz 3 siostry, które wszystkie powychodziły za mąż.

Dziadek i babcia byli Polakami i katolikami, tak samo i dzieci. Jak starsi ludzie mi opowiadali, którzy go jeszcze znali, dziadek chodził zawsze w kontuszu i w kontuszu umarł d. 13 maja r. 1813, będąc w drodze do domu. Dlatego też pochowany został na cmentarzu stężyckim — spoczywa tam, gdzie stoi wielki krzyż — a nie na parafialnym w Chmielnie.

Do roku dziesiątego pobierał ojciec naukę w domu przy pomocy nauczyciela domowego; potem oddano go do Wejherowa do ewangelickiej szkoły rektorskiej, gdzie

uczono go także gramatyki, języka polskiego, którym ojciec, jak pisze w swoim wojskowym *Curriculum vitae*, władał wszechstronnie. Po śmierci rodziców jednak — babcia umarła krótko po dziadku, d. 10 lipca r. 1813 — zmuszony był opuścić szkołę, a gdy tymczasem także majątek przeszedł w inne ręce, wstąpił ojciec d. 24 października r. 1817 do pułku huzarów. Po 20-letniej służbie kazano mu w sierpniu r. 1836 udać się do Lecu, dokąd zdążyła za nim żona jego w październiku tegoż roku.

Podczas służby wojskowej utracił ojciec swoje nazwisko polskie i bywa nazywany „von Winkler“ i sam tak pisze się w papierach wojskowych.

Okoliczność ta wymaga obszerniejszego objaśnienia, tym bardziej, że owo niemieckie nazwisko i mnie przypadło w udziale.

Oryginalny tekst metryki ojca brzmi: „1801. Łączyn. Die 27 Septembris Ego Antonius Lewiński parochus Chmielnensis baptisavi infantem die 21, hora decima ante meridiem natum ex nobili generoso domino Adalberto Kętrzyński et nobili generosa domina de Jezierska ex domo, filia iudicis Tucholiensis et nunc Magdalena Kętrzyńska, legitimis coniugibus parochiae Chmielnensis, cui impositum est nomen Josephus Michael. Patrini fuere nobilis generosus dominus Josephus Jezierski, filius iudicis Tucholiensis et nobilis generosa Deograta Jezierska, filia iudicis Tucholiensis tempore Polonico de villa Przewóz“.

Nazwiska „Winkler“ nie ma tu wcale. Nie ma go także ani w metrykach chrztu rodzeństwa z pierwszego i drugiego małżeństwa, ani w świadectwach ślubu, ani w metryce śmierci dziadka! W przeciągu wieku XVIII

i w początku wieku XIX jedenastu Kętrzyńskich służyło jako oficerowie w armii pruskiej, ale żaden nie nazywał się „Winkler“¹, co by stało się niewątpliwie, gdyby nazwisko to było im znane i do nich należało.

Przyczyna zjawiska tego przez długi czas nie była mi znana i dlatego też kazałem dzieci swoje chrzcic jako „Winkler-Kętrzyński“, sądząc, iż rzeczywiście pochodzimy z jakiejś rodziny niemieckiej; dopiero lat 10 temu zdołałem wyjaśnić tę zagadkę.

W sferach rządowych panowało wówczas ogólne mniemanie, jakoby cała szlachta polska Prus Zachodnich, a mianowicie Pomorza, była pochodzenia niemieckiego. Dlatego zakładając księgi hipoteczne zwracano wielką baczność na Niemców mieszkających w Prusach Zachodnich za czasów krzyżackich lub później, gdzie zaś znaleziono pewne ślady, dawano znać odnośnym rodzinom, że powinny znać się po niemiecku, a nie nosić nazwisk polskich, nieodpowiednich dla potomków niemieckich. Otóż przy zakładaniu ksiąg hipotecznych dóbr Kętrzyn natrafiono na rodzinę „von Winkler“, nazywającą się od swojej części Kętrzyna Kętrzyńskimi tak samo jak familie Baumgart, Malotta, Litze etc., bo tego wymagał zwyczaj.

Pierwszy Winkler, który osiadł na Kętrzynie, był Matyasz; spotykam go już r. 1662; tenże z żony, Katarzyny Chmielińskiej, miał 3 synów: Franciszka, Piotra i Jana; Franciszek występuje raz tylko r. 1690; zdaje się, że wcześniej umarł; Piotr i Jan byli żonaci, ale zostawili

¹ Świadczą o tym urzędowe zapiski tajnego archiwum wojennego w Berlinie.

tylko córki, tak że około r. 1780 ród Winklerów wygasł¹.

Pomimo to dawano znać rodzinie o jej pochodzeniu z Winklerów. Że tylko ze względów utylitarnych stosowano się do tego żądania, najlepszym tego dowodem jest okoliczność, iż dopiero r. 1794 pruska władza, proponując mego dziadka stryjecznego, Bonawenturę, na landrata powiatu sochaczewskiego, nazywa go „von Winkler-Kętrzyński“. Tak samo pisze się także Bonawentura w korespondencji swojej z rządem; dziadek mój zaś, ile mi wiadomo, dwa razy tak się podpisał, dzieciom swoim jednak nie dodali tego nazwiska, gdyż nie zawierają go metryki chrztu ojca mego i stryjów, a potomstwo Bonawentury, przebywające w Królestwie i we Lwowie, nie zna w ogóle tego przydomka.

W tzw. *Vasallenlisten*, czyli w spisach szlachty zachodnio-pruskiej, znajduje się już od r. 1812: „1812/13 Albrecht von Winkler-Kętrzyński“, a r. 1818 przybył nam jeszcze jeden niemiecki przydomek: „Winkler-B e r g h a h n“ (Berghahn — Birkhahn ma być przekładem nazwy herbowej „Cietrzew“).

Mniej przezorni od dziadka byli jego synowie; posługiwali się oni chętnie tym nazwiskiem sądząc, że to im ułatwi służbę i karierę wojskową; koniec zaś był taki, że z nazwiskiem niemieckim przyszła także germanizacja, gdyż nie tylko ja, ale także synowie stryja Ignacego stali się Niemcami.

¹ Że ród Winklerów, siedzący na części Kętrzyna od r. 1662—1740, nie ma nic wspólnego z rodziną moją, dowodzi okoliczność, iż Kętrzyńscy, od których ja pochodzę, już od r. 1570 mieszkali w Chośnicy.

Chociaż nazwiska „Winkler“ nie ma w metryce, pomimo to r. 1821 proboszcz chmieliński, Tempski, wystawił następujące świadectwo chrztu:

„Die adelichen Eltern Albrecht Winkler von Ken-trzyński und Magdalena geborne von Lehwald Jezierska haben folgende Kinder erzeugt:

1. Johan Carl geb. d. 9 Mar. 1799
2. Joseph Michael geb. d. 22 Sept. 1801
3. Theophil Michael geb. d. 23 Oct. 1802
4. Ignatz Albrecht geb. d. 22 Nov. 1804 etc.“

Metryka ta ulegalizowała nazwisko Winkler, które mi towarzyszyło przez wiele lat życia.

W małym domku tuż przy cmentarzu, o którym już przedtem wspomniałem, urodziłem się d. 11 lipca r. 1838, a siostra moja, Wilhelmina (Minna), d. 14 stycznia r. 1840.

Wychowaliśmy się głównie pod kierunkiem matki, gdyż ojca obowiązki zatrudniały często poza domem. Matka zaś nasza była nie tylko przezorną i praktyczną gospodynią, ale także dobrą i troskliwą opiekunką dzieci, których nauce i edukacji poświęciła wszystek swój czas. Dużo było dobroci i uczucia w jej sercu; miała także talent opowiadania. Wieczorami zimowymi, bywało, gromadziło się u nas kilkanaścioro dzieci, a jak zaczęły prosić: „niech pani nam coś opowie“, tedy mama siadała na ławce przy piecu, a dzieci otoczywszy ją kołem słuchały z zachwytem jej opowiadania.

Nie pamiętam, kiedym się zaczął uczyć czytać i pisać, przypominam sobie tylko dziś jeszcze dokładnie, jak ucząc się na pamięć wierszyka niemieckiego:

Willkommen im Grünen!
Der Lenz ist erschienen itd.,

siedziałem na ławeczce, trzymając przed sobą książkę na krzeselku; musiałem być jeszcze bardzo mały.

Chodziłem wówczas także do szkółki dla małych dzieci, która mieściła się naprzód w domu pana Döringa na rynku, oddzielnym od apteki drogą prowadzącą do jeziora — a później w ogrodzie p. Radziwiłowej na Woli.

Mając lat 6 zacząłem chodzić do szkoły miejskiej, gdzie popełniłem pierwszy wiersz niemiecki na jednego z naszych nauczycieli, nazwiskiem Sauf, którego głównym środkiem pedagogicznym był kańczug. Za zbrodnię tę ukarano mię 2-godzinnym aresztem w ciemnej kuchni znajdującej się w szkolnym budynku. Byłem chłopcem na wiek swój bardzo rozwiniętym; mając lat 7 lub 8, bo zawsze przed śmiercią ojca, czytałem już, siedząc na płocie, na podwórzu, Körnera dramat „Zriny“; oderwać się od niego nie mogąc zapomniałem o obiedzie i o całym świecie.

Będąc dzieckiem bawiłem się często z dziećmi fizyka miejskiego, p. Zettnowa, Emilem i Klarą; Klarę widywałem później jeszcze r. 1869 w Berlinie. Niedaleko nas mieszkała p. Umlauf, wdowa pochodząca z domu profesorskiego, u której często bywałem; jej synowie założyli drukarnię i r. 1848 drukowali jakąś gazetę. W tym samym domu po drugiej stronie mieszkał szewc Pomaska, Mazur, który mnie bardzo lubił. Obok we własnym domu mieszkał jakiś p. Dąbrowski; pamiętny mi jest tam pokoik, gdzie wisiąco dużo obrazków z życia Napoleona, które dla mnie miały wielki urok.

Póki wiosna i lato, lubiłem bujać poza miastem, nie-rzad później przypominały mi się wędrówki te i wycieczki:

Mit Wehmut in dem Herzen,
Mit Tränen in dem Blick,
Denk' ich an meiner Kindheit
Glücksel'ge Zeit zurück,
Wo ich mit frohem Mute,
So frei wie die Natur,
Durch Wald und Felder streifte
Und durch die grüne Flur.

Ojca mego mało sobie tylko przypominam; był słusznego wzrostu, szatyn, nosił wasy i baczki *à la* Fryderyk III lub IV. Rzadko bawił w domu, więcej podróżował konno po powiecie. A jednak wpływ wywarł ogromny na życie moje pomimo to, że w domu mówiono tylko po niemiecku.

Ojciec lubił opowiadać o Polakach, o dziadku i babci mojej, o Jezierskim, który był opiekunem ojca, o Klińskich, o sygnecie herbowym dziadka, o Gdańsku itp., — czasem też nucił sobie: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i nieraz mówił, że przyjmie nauczyciela, abym się nauczył po polsku. Do tego jednak nie przyszło. My dzieci, ja i siostra, bawiąc się w koniki jeździliśmy zawsze do Warszawy i Gdańska, rzadko do Królewa.

Czy dzieckiem będąc mówiłem już po polsku, nie wiem i wątpię; sądzę jednak, że jako tako rozumiałem, co mówiono; świadczy o tym okoliczność, iż lubiłem towarzystwo starego sługi ojca, nie umiejącego po niemiecku, który niegdyś służył pod Kościuszką i lubił o nim opowiadać nam dzieciom.

Jak żywo w ogóle interesowało mnie wszystko, co się do polskich odnosiło stosunków, na to przytoczę tu kilka przykładów.

W owych czasach rozchodziły się szeroko po kraju tzw. *Ruppiner Bilderbogen* — rupińskie arkusze obrazkowe — naturalnie, po niemiecku. Raz tylko, o ile pamiętam, był arkusz z obrazkiem i wierszem polskim, widocznie przeznaczony dla uczniów, pod tytułem „Mały dobosz“. W ówczesnych czytankach szkolnych niemieckich wzmianki o Polsce nie były jeszcze wykluczone; znajdowały się tam bowiem: powiastka „o Kościuszcze i jego koniu“, oraz wierszyk zaczynający się od słów:

In Polen brummt ein wilder Bär:
Ihr Bienen, gebt den Honig her etc.

Razu jednego byłem świadkiem pewnej rozmowy pomiędzy p. dr Zettnowem a radcą szkolnym... który — zdaje mi się, że było to w r. 1845 — przybył z Gąbina, aby przeprowadzić germanizację szkół polskich. Dr Zettnow zwrócił uwagę p. radcy szkolnego na to, że przez kasację języka polskiego nie małą krzywdę wyrządza się ludności polskiej i jej kulturalnemu rozwojowi. Na to odpowiedział p. radca, a jego słowa utkwiły mi na zawsze w pamięci, że dla osiągnięcia wielkiego celu jest to rzecz obojętna, czy jedna lub dwie generacje „über Bord geworfen werden“.

Śmierć ojca w d. 12 sierpnia r. 1846 wyrwała mnie nagle z tej atmosfery, na pół przynajmniej polskiej. W owym czasie wdowy nie otrzymywały jeszcze żadnej pensji wdowiej, lecz tylko jednorazowy zasiłek. Matka zatem musiała się bardzo ograniczać i zniewolona była myśleć o zapewnieniu sobie i dzieciom egzystencji. W tym celu, korzystając z przyznanego funduszu, postanowiła udać się do Gąbina do instytutu pielęgniarskiego i umie-

ściła nas wtedy na rok u kolegi ojca, Göhrke, gdzie nam było bardzo niedobrze. Po powrocie matki byliśmy znów razem, ale opiekun mój, porucznik żandarmerii Herfurth, poczynił starania, aby umieścić mnie w Domu Sierót po Wojskowych w Poczdamie. Udało mu się to i na wiosnę r. 1849 wyprawiono mnie w świat.

Pamiętna na zawsze jest dla mnie owa sobota, w którą pocztą wyruszyłem rano na Królewiec, Frombork, Tczew, Starogard, Chojnice do Waldenberga, gdzie nocowałem, bo tu skończyła się droga szosowa i pocztowa, a czekała szybsza kolej. W całej tej drodze było mi dobrze, ludzie zaci opiekowali się mną, a na pytania ich, co to za miasto lub rzeka, umiałem niemal zawsze trafnie odpowiedzieć, z czego wynika, że byłem jako tako obeznany z geografią ściślejszej mojej ojczyzny. W pamięci tkwił mi widok katedry fromborskiej położonej na górze, i bory tucholskie, nie przetrzebione jeszcze jak dzisiaj, przez które długie mile prowadziła droga.

W Waldenbergu stanąłem w środę po południu; w czwartek wyjechałem już koleją do Szczecina, a stąd do Berlina, gdzie nocowałem; w piątek dotarłem do celu mojej podróży w owym Domu Sierót, gdzie umieszczono mnie w trzeciej kompanii i gdzie otrzymałem nr 402.

Na pobyt w Zakładzie tym nie mogę narzekać; byłem bardzo wątłym dzieckiem z piersiami dość wadliwymi, na wiek swój bardzo wysoki i szczupły, ale musztry wojskowe i gimnastyka wyrównały mi klatkę piersiową i zahartowały zdrowie. Prędko też zaawansowałem na podoficera z tałarem miesięcznej pensji, oraz nieco później na kapitana *d'armes*, co mi nadało stanowisko

swobodniejsze o tyle, że urzędnicy często zabierali mnie ze sobą na spacer i wycieczki w piękne i urocze okolice poczdamskie. Raz, pomnę, szliśmy przez Glinnik Mały, rezydencję ks. Karola Fryderyka. Księżę zobaczywszy mnie z towarzyszem zatrzymał nas i wypytywał, jak się nazywam, skąd jestem itd., a potem zaprosił całą kompanię moją na drugą niedzielę do siebie na podwieczorek; byliśmy tam.

Do wielkich przyjemności moich w Poczdamie należał dom ówczesnego majora hr. Karola v. d. Golz. Karol i August Golzowie i siostra ich, będąc dziećmi, bawili się nieraz z matką moją i jej siostrami, gdyż dziadek mój, jak już nadmieniałem, był dzierżawcą u ich rodziców. Hr. Karol miał dwóch synów w moim wieku, z którymi się zawsze dobrze bawiłem, w domu ich rodziców bywałem zwykle co drugą niedzielę na obiedzie aż do wieczora.

Nauczyciele moi — mianowicie dwóch kandydatów teologii — lubili mnie, pozwalając bywać w mieszkaniach swoich i szperać po książkach; uczyli mnie nawet prywatnie początków języków francuskiego i łacińskiego. Kurator Zakładu, pułkownik Courbière(?), dowiedziawszy się, że wielką mam skłonność i chęć do nauk (a mianowicie, że życzeniem moim jest zostać weterynarzem), uczynił kroki w ministerium w Berlinie, aby pozwolono mi z Zakładu chodzić do gimnazjum oraz aby po ukończeniu nauk gimnazjalnych umieścić mnie w tzw. *Pepinière* w Berlinie. Wszystko szło z początku gładko, ale z powodu śmierci p. pułkownika cały projekt upadł.

Według prawa pruskiego o mieszanych małżeństwach syn powinien być wychowany w religii ojca, córki w re-

ligii matki. Kiedy zbliżał się rok 14 mego życia, zapytano mnie, czy chcę zostać katolikiem; nie wiedząc, co to jest katolicyzm, gdyż nigdy ani kościoła, ani księdza katolickiego nie widziałem, oświadczyłem wręcz, że nie chcę być katolikiem. Zacząłem zatem chodzić na naukę do naszego pastora zakładowego, jak i już przedtem.

W szkole siedział obok mnie syn jednego z nauczycieli nazwiskiem Walter, z którym zaprzyjaźniłem się; był tego samego wieku co ja. Razu pewnego tenże p. Walter rzekł do syna i do mnie: „Macie teraz zostać chrześcijanami, powinniście także wiedzieć, jak w innych kościołach wygląda“ i zaprowadził nas na nabożeństwo do kościoła katolickiego. Nabożeństwo to zostawiło wrażenie olbrzymie w mojej duszy; jak tu wszystko inaczej aniżeli w świątyniach protestanckich; w tych ściany puste i puste ławki; tutaj po ścianach obrazy, liczne figury i ozdoby, ksiądz w ornacie, dym kadzideł, ludzi pełno — to wszystko opanowało duszę moją tak dalece, że dzisiaj po latach 70 obraz ten jeszcze jasno widzę przed sobą. Kościół katolicki może mieć ludzi wierzących, bo działa silnie na serce i uczucia; kościół protestancki wychowuje tylko niedowiarków, bo jest nudny. Nie dziwnego, że mając lat 15 już nie wierzyłem, a walka z zwątpieniem trwała mi całą młodość. Stan ówczesny mej duszy wyobraża następujący wiersz:

Ich stand in der festlichen Kirche
Von Orgeltönen umrauscht
Und hab' in stummer Verzweiflung
Der betenden Menge gelauscht.

Ich dachte zurück an die Kindheit,
Wo ich geglaubt und geliebt,

Wo keine Zweifel die Reinheit
Der schuldlosen Seele getrübt,

Wo fromm ich die Hände noch falten,
Zu Gott noch beten gekonnt,
Wo Freude, Friede und Ruhe
Mir noch in dem Busen gewohnt,

Wo glücklich ich wallte auf Erden
Im lieblich täuschenden Wahn
Von Gott, Erlösung und Jenseits —
Ein hoffender Pilger die Bahn.

O teuer erkauft' ich Erkenntnis
Und schrecklich hab' ich's gebüsst,
Dass ich mit frevelnden Händen
Den Sais'schen Schleier gelöst.

Wychowując się w Zakładzie tym na patriotę pruskiego robiłem sobie nieraz mimowiednie zarzuty, że nie śpiewam: „*Ich bin ein Preusse, kennt Ihr meine Farben*“ etc. z taką radością, z takim przejęciem, jak inne dzieci, i pamiętałem także, że mam polskie nazwisko obok niemieckiego.

W Poczdamie zacząłem także układać wiersze, przeważnie treści religijnej, które posłałem matce mojej; spaliłem je później jako dziecinne; jedna kartka tylko przechowała się dotąd.

Opuszczając Zakład na wiosnę r. 1853, odwiedziłem państwa Zettnowów, którzy z Lecu przenieśli się do Labi w Pomeranii; zabawiwszy u nich kilka tygodni udałem się w dalszą drogę ku domowi; jechałem wtedy koleją już do Tczewa, a stamtąd jeszcze pocztą.

Po powrocie do domu stanęła kwestia, co ze mną ma być dalej? Matka chciała, abym wstąpił do jakiegoś

biura jako pisarek, ja zaś pragnąłem się uczyć; po długim wahaniu zgodziła się matka nareszcie na moje żądanie i zacząłem uczęszczać do założonego niedawno w Lecu progimnazjum dr. Jana Ebla, znakomitego pedagoga i nauczyciela. Szkoła ta posiadała tylko dwie klasy, ale kurs był pięcioletni. W każdej klasie były trzy, względnie dwa oddziały. Wstępując do tejże szkoły byłem już nieco starszy od innych współuczniów. Z początku uczyłem się tylko w niższym oddziale; po jakimś czasie — 2 do 4 tygodni — brałem udział także w drugim i nareszcie w trzecim oddziale; tak samo potem w drugiej klasie, tak że dziennie 3, względnie 2 kursy przerabiałem: była to praca przechodząca siłę ludzką; siedziałem nad książką do pierwszej i drugiej w nocy, i to przy świetle lichej lampki; cud boski, że to przetrwał, ale oczy zmarnowałem niepowrotnie; dopiąłem jednak celu przerobiwszy 5-letni kurs w 1½ roku. Zdawszy egzamin wstępny w gimnazjum w Rastemborku zostałem przyjęty do sekundy.

W gimnazjum udało mi się pozyskać życzliwość i poważanie profesorów moich i śp. dyrektora Techowa; nawet p. prof. Kühnast, którego powszechnie nie lubiano, chociaż w samej rzeczy był najzaczniejszym człowiekiem, należał do przyjaciół moich i zachował dla mnie przyjaźń także w czasach późniejszych. Wykładał grekę; pierwsze zadanie moje domowe było dobre; pierwsze klasowe niedostateczne; następne domowe znowuż dobre, ale p. profesor zaopatrzył je w znak zapytania, czy to rzeczywiście moja własna praca. Odebrawszy zeszyt poszedłem z nim do niego i powiedziałem mu mniej więcej tak: „Panie profesorze, wiem, że jestem słaby; przerobiłem

to, na co inni potrzebują 5 lat, w półtora roku; chodzę do gimnazjum z własnej woli, bo pragnę uczyć się; jeżeli zadanie domowe wypadło dobrze, jest to dowód, że wiele zadawał sobie pracy i mozółu; mam nadzieję, że z czasem i klasowe zadania będą lepsze“. Od owego czasu nie było już nigdy znaku zapytania. Zresztą w przedmiotach szkolnych niezadługo zrównałem się z drugimi z wyjątkiem matematyki, ale profesorowie tego przedmiotu nie robili mi nigdy przy egzaminach żadnych trudności.

Już w Lecu zacząłem pisać wiersze. Miałem ich już cały zeszytek w Rastemborku. Były tam wyrazy poświęcone pierwszej miłości, były i rymy zajmujące się polityką, które dowodzą, że wówczas czuł się całkowitym Niemcem, jak to z zakończenia poematu następującego wynika:

.....
Wo sind die Kämpfer für die gute Sache,
Dein Kinkel, Vaterland, und Freiligrath?
Sie sind geopfert eines Königs Rache,
Der wahrhaft schön sein Wort gehalten hat.

Verzage nicht; der Seufzer der Verbannten
Dringt übers Meer, mein Volk, jedoch zu Dir;
Ihr Denken gilt den fernen Vaterlanden,
Ihr Geist, mein Volk, ist immer fort bei Dir.

Wenn einst der Morgen blutig wird erglühen,
Wenn aufgeht dann der Freiheit goldnes Licht,
Dann wird die Schar der Edlen zu Dir ziehen,
Wird für Dich kämpfen, bis das Auge bricht!

Minęło lat 10 od śmierci ojca; od owego czasu bawiłem prawie ciągle wśród obcych ludzi, zajęty nauką

i zabawą; nie a nie nie przypominało mi lat dziecinnych, pamięci ojca i polskich uczuć; zapomniałem o wszystkim; byłem, jak szkolni koledzy, Niemcem, którego przezywano Anakreontem, zem się zajmował greckim poetą, wiersze jego tłumaczył i naśladował. Wtedy — było to r. 1856 — otrzymałem raz list od siostry mojej, 16-letniej wówczas panienki, w którym pisała: „Miałam niedawno w ręku papiery po ojcu i przekonałam się, że ojciec był Polakiem, że mamy polskie nazwisko, że więc i my nie jesteśmy Niemcami, lecz Polakami“. Po przeczytaniu słów tych zaszedł nagle przewrót w umyśle moim i w mym sercu; przypomniałem sobie znów swoje polskie nazwisko, opowiadania ojca i jego życzenie, abym się nauczył po polsku, jednym słowem, uczulem, że jestem Polakiem, a jak gwałtowny był ten przewrót, o tym świadczyć może poemat napisany po odbiorze listu siostry:

Fahre hin, du Glück der Liebe, das im Herzen mir geblüht;
Lebe wohl, du rote Rose, die des Gottes Flammen sprüht;
Lebe wohl, du schönes Mädchen, das mein Herz in Fesseln band,
Lebe wohl, du Licht der Augen, deren Strahl ich oft empfand.

Von den eiteln Tändeleien, von den Freuden, von dem Scherz
Wendet sich dies gramzerrissne, ahnungsvolle, kranke Herz;
Nein, ich will nicht mehr der schönen Preussenmädchen Säger
[sein,
Sing' nicht mehr das Glück der Liebe, heitren Frohsinn, Scherz
[und Wein.

Jetzt nur ruft mein Lied zum Kampfe, zum Gewühl des Kriegs,
[zum Streit,
Zur Empörung und zum Aufruhr, da es Hass und Rach' gebeut;
Zu dem Sturz der Potentaten, die die Heimat mir geraubt,
Die in's Joch, in's eh'rne beugen Polens sieggekröntes Haupt.

Ha! es soll euch nicht gelingen, hütet euch, der Rächer naht;
Wir erkämpfen uns das wieder, was ihr nahmet durch Verrat;
Raubtet ihr gleich unsre Freiheit, unser Mut bleibt unbesiegt;
Polens Kraft ist nicht gebrochen, wenn es auch in Fesseln liegt!

Odtąd ja i siostra moja byliśmy Polakami. Kupiłem sobie natychmiast jakąś popularną historię Polski oraz gramatykę polską, a porzuciwszy język hebrajski — pierwszą księgę Mojżesza i pierwszy psalm przeczytałem już w oryginale — zacząłem na gwałt uczyć się po polsku, albowiem cały zapas słów pozostałych w mojej pamięci był bardzo mały, gdyż składał się z kilkudziesięciu zwrotów i wyrazów i z liczb do 20.

W gimnazjum rastemborskim było trzech profesorów Polaków: p. Bryłowski, dygnitarz masoński, Kaszuba pochodzący z Prus Zachodnich; wykładał geografję i historję; nie miałem z nim żadnych stosunków. Drugim był prof. Kühnast, urodzony pod Warszawą, gdzie za pruskich czasów ojciec jego był urzędnikiem; posiadał on bardzo ładną bibliotekę klasyków polskich — podobno napisał nawet polską rozprawę o naszych pieśniach religijnych — ale chociaż był wielkim moim przyjacielem, nie chciał mi pożyczać żadnych ksiązek polskich, ofiarując natomiast wszystkie greckie i łacińskie dzieła. Trzecim był prof. Kłupcz z Wielkopolski, matematyk, który otaczał mnie zawsze życzliwą opieką i nie odmówił mi nigdy polskiej książki, skoro go o to prosiłem. Już był wiekowy, ale po niemiecku mówił zawsze z akcentem obcym.

Sympatie moje dla Polski znane były naturalnie nie tylko w gronie kolegów szkolnych, ale także w tych kołach, w których przebywałem. Zdarzyło się, że razu jed-

nego otrzymałem list anonimowy, w którym żartowano wierszem z moich uczuć patriotycznych polskich. Cały poemat przepadł, pamiętam dziś tylko jeszcze zwrotkę następującą:

Ja Polen wär' verloren,
Hätt' es nicht diesen Sohn,
Der wieder wird errichten
Den längst gestürzten Thron.

Autorką była, jak się dowiedziałem, panna Minna Gudovius (Gudowska), znana piękność rastemborska, z którą często spotykałem się w towarzystwie. Miała ona parę miesięcy później zatarg z gimnazjalistami, którzy na balach tamtejszych stanowili główny kontyngent tancerzy; wyraziła się o nich lekceważąco: *die leidigen Gymnasiasten*, co mniej więcej oznaczało, że uważa ich za ludzi, cierpiących tylko dla braku innych. Gimnazjaliści dowiedziawszy się o tym uchwalili na następnym balu w sobotę nie tańczyć z nią i przeprowadzili to. Sam na balu nie byłem, ale gdy koledzy w poniedziałek z rana opowiadali o tym, co zaszło, postanowiłem skorzystać ze sposobności, aby pannie Minnie piękne oddać za nadobne, i w klasie wśród lekcji o odach Horacego napisałem następujący wiersz:

Hell erglänzt der Saal von Kerzen,
Von der Lampen lichthem Schein
Und nach rauschenden Akkorden
Schlingen festlich sich die Reih'n.

Schlanke Mädchen, Gymnasiasten,
Überall nur Freud' und Licht —
„Aber Fräulein, schönes Fräulein,
Warum tanzen Sie denn nicht?“

Sonst die Königin der Feste,
Sonst die Göttin himmlisch schön,
Sonst der Stern, um den die Gäste
Wie Bezauberte sich dreh'n;

Sonst die erste in dem Reigen
Und mit freudigem Gesicht —
„Aber Fräulein, schönes Fräulein,
Warum tanzen Sie denn nicht?“

Alles tanzt; Ihr Fräulein Schwester
Selbst eröffnet alle Reih'n;
Doch nur Sie, mein Fräulein, sitzen
Ah, so einsam und allein;

Alles geht vorbei an Ihnen,
Aestimiert man Sie denn nicht?
„Aber Fräulein, schönes Fräulein,
Warum tanzen Sie denn nicht?“

Ist es Unmut, ist's die Hitze,
Die der glüh'nde Ofen sprüht,
Dass Ihr Angesicht in Purpur
Gleich wie ein Rubin erglüht?

Ist es Unmut, was mit Tränen
Jetzt aus Ihren Augen spricht? —
„Aber Fräulein, schönes Fräulein,
Warum tanzen Sie denn nicht?“

Niemand kommt Sie aufzufordern,
Niemand, der zum Tanz Sie führt,
Niemand, den Ihr bitt'res Leiden
Und Ihr herber Unmut rührt;

O wie sind Sie heut so traurig,
Sterbend fast das Auge bricht —
„Aber Fräulein, schönes Fräulein,
Warum tanzen Sie denn nicht?“

Ja, die „leid'gen“ Gymnasiasten
Haben alles das verschuldet,
Was auch immer, schönes Fräulein,
Auf dem Balle Sie erduldet.

Ja, die „leid'gen“ Gymnasiasten
Hielten über Sie Gericht —
„Darum Fräulein, schönes Fräulein,
Darum tanzen Sie auch nicht!“

Wspominam tu o tej bagatelce, ponieważ jest to mój najślawniejszy poemat. Podczas lekcji oddałem sąsiadowi jeden odpis, a w przeciągu tygodnia kursowały setki kopij nie tylko w mieście, lecz także w bliższej i dalszej okolicy; refren nawet: „*Aber Fräulein*“ etc. śpiewały służące po ulicach, mianowicie gdy spotykały owe panienki. Matka ich zaniósła na mnie skargę do dyrekcji, która jednak nie ubliżającego nie znalazła w owych wierszach.

D. 12 marca r. 1859 zdałem maturę, a w jesieni przeniosłem się na uniwersytet do Królewca. Miałem wszystkiego 16 talarów w kieszeni. Zapłaciwszy immatrykulację w kwocie 10 talarów, najawszy do spółki z znajomym mieszkanie i kupiwszy lampę byłem prawie bez grosza; zaczął doskwierać mi głód; wracając wieczorem do domu głodny zauważyłem na stole kosz; otwieram i widzę bochenek chleba, wędliny i masło. Domyślałem się ofiarodawcy¹, ale nie chciało się przy-

¹ Byli to państwo Steffenhagen, którzy z Leca przenieśli się do Królewca. Starszy ich syn, dr Emil Steffenhagen, — byłem jego oponentem przy promocji doktorskiej — zajmował później stanowisko dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej w Kilonii.

znać. No, miałem na kilka dni do życia, a tymczasem Pan Bóg dopomógł dalej.

Dziekanem fakultetu filozoficznego w Królewcu był wówczas prof. F. Richelot, matematyk. Z obowiązku zgłosiłem się do niego — było to w październiku r. 1859. P. dziekan przyjął mnie bardzo grzecznie i przypatrzywszy się zaczął wypytywać się o moje stosunki; odpowiedziałem, że nie są świetne, i przedstawiłem mu położenie moje. Pomyślawszy trochę rzekł do mnie: „Ja panu dam dobrą radę, pod warunkiem jednak, że tego nie rozgłosisz. Napisz pan podanie do senatu, aby panu zwrócono taksę immatrykulacyjną; moja już sprawa, abyś pan ją otrzymał. Ale z 10 talarami także wielkich skoków robić nie można. Napisz pan więc drugie podanie do naczelnego prezydenta prowincji, który zarazem jest kuratorem uniwersytetu; on ma do dyspozycji małe stypendia w kwocie 10 talarów dla ubogich studentów początkujących. Będzie pan miał 20 talarów, to już coś znaczy; lecz jeszcze bieda z obiadami. Mamy tu w uniwersytecie tzw. królewskie obiady bezpłatne, ale dostać je pan możesz dopiero po pół roku po zdanych dobrze kolokwium. Trzeba jednak coś zrobić, abyś pan z głodu nie zginął; otóż ja jestem kuratorem tych obiadow i mam pewną ilość oszczędzonych; póki ich starczy, niech pan z nich skorzysta. Tutaj mój bilet“ — napisał na nim kilka słów — „udaj się do restauracji... i oddaj bilet według adresu“.

Za tyle grzeczności i życzliwości wyświadczonej nieznajomemu dziękowałem p. dziekanowi ze łzami w oczach. Przychodząc do niego nie wiedziałem, czy się w ogóle będę mógł utrzymać w Królewcu; wychodząc

byłem pełen nadziei. I rzeczywiście, dwa moje podania przyniosły mi 20 talarów, a obiady królewskie żywiły mnie aż do Wielkiej Nocy.

Wtedy po zdaniu kolokwium przyznano mi na prośbę z urzędu owe królewskie obiady; wówczas jednak otrzymałem posadę nauczyciela domowego u kupca Bernarda Löwinsohna w Królewcu. Miałem ucznia, któremu dziennie dawałem 2 godziny lekcji i z którym chodziłem na spacer, oprócz tego miałem z nim i jego rodziną przepędzić lato w Kranzu nad morzem. Za to otrzymywałem miesięcznie 20 talarów, mieszkanie i całe utrzymanie.

Wskutek tak szczęśliwego położenia udałem się znów do p. Richelota. Przedstawiwszy mu pomyślne moje stosunki prosiłem go, aby rozporządził tymczasem danymi obiadami na korzyść innego, biednego studenta aż do chwili, gdy znów mi będą potrzebne. Po roku oddałem ucznia mego do gimnazjum, więc w dalszym ciągu korzystałem już z tych obiadow, ale że rodzina ucznia zostawiła mi mieszkanie z opałem i z kawą, nie było już obawy, aby bieda mogła mi zajrzeć w oczy, bo i lekcji dobrze płatnych nie brakło nigdy.

W owym czasie, gdy miałem pierwsze tak pomyślne spotkanie z p. dziekanem, poznałem się osobiście także z prof. Wilhelmem Giesbrechtem i to w ten sposób:

Prof. Giesbrecht miał na zimę wyklądać: historię niemiecką w epoce reformacji (5 godzin tygodniowo) oraz dzieje rzymskie do czasów Augusta (również 5 godzin); za wykłady te należało zapłacić 10 talarów. Nie mając w owej chwili jeszcze tyle funduszków chciałem p. profesora prosić, aby raczył pozwolić na pewną

zwłokę w zapłacie. Wszedłszy do jego gabinetu zastałem już innego studenta; miał taki sam interes jak ja i otrzymał krótką odmowę. Położenie moje było przykre, ale zanim zdążyłem wyrazić swą prośbę, Giesbrecht począł wypytywać mnie, gdzie byłem w szkołach, czym się zajmowałem, jakiemu przedmiotowi mam zamiar poświęcić się, czy może wiersze pisuję etc. etc. Gdy mu na to odpowiedziałem i także przyznałem się do pisania wierszy — co uważał za dobrą wróżbę dla młodego historyka — wyraziłem mu nareszcie prośbę swoją oświadczając, że byłoby mi bardzo przykro, gdybym zmuszony był przy rozpoczęciu studiów historycznych opuścić właśnie jego wykłady dla chwilowego braku funduszków, zwłaszcza że mam nadzieję, iż wkrótce będę w posiadaniu potrzebnej kwoty. Na to odpowiedział mi p. prof. Giesbrecht, że nie może uwolnić mnie od zapłaty choćby chwilowo, bo tym wszystkim trudni się kwestura uniwersytecka, że gdybym do ostatniej chwili nie posiadał potrzebnej kwoty, mam zgłosić się do niego, a on mi ją pożyczyci. Nie korzystałem z tej oferty, gdyż otrzymawszy fundusze zapłaciłem, co się należało w kwesturze. Od owego czasu p. prof. Giesbrecht był zawsze moim życzliwym przyjacielem; bywałem nieomal co tydzień u niego na herbacie, przy której sposobności pokazywał mi nieraz ciekawe rękopisy i dokumenty, a z rozmowy z nim nauczyłem się wiele. Widziałem tam także świeżo odkryte dokumenty biskupstwa chełmińskiego, które później były przedmiotem moich badań krytycznych.

Na uniwersytecie pierwszy raz zetknąłem się z polskimi akademikami i pierwszy raz miałem sposobność mówienia po polsku; spotkałem tam także akademika

z Prus Zachodnich, który w pewnym domu polskim był czas jakiś nauczycielem domowym. Gdy mu nadmienilem, że z rodziną takiego nazwiska jestem spokrewniony i że po polsku nazywam się Kętrzyński, doniósł o tym tejże rodzinie, wskutek czego otrzymałem od wujka mego, p. Michała Klińskiego, burmistrza miasta Kościerzyny, zaproszenie, abym go odwiedził. Korzystałem r. 1860 z tego zaproszenia i pojechałem do Kościerzyny, gdzie odtąd byłem częstym gościem. Tam dowiedziałem się także, iż w Tucholi żyje jeszcze stryj mój Karol; pośpieszyłem więc i do Tucholi i w krótkim czasie poznałem wszystkich moich bliższych i dalszych krewnych oraz wielu innych, zacnych Polaków, jak Kalksteinów, Jackowskich, Czarlińskich itd. Miałem więc i dla siebie jakiś punkt oparcia.

W początku r. 1861 odebrałem list od siostry, w którym mi doniosła, że w metryce chrztu, którą kazała sobie wystawić, znajduje się i polskie nazwisko nasze; udałem się więc natychmiast do superintendenta lekkiego, p. Szeląga, i powołując się na metrykę chrztu siostry prosiłem, aby wystawiono mi nową metrykę, poprawną, z uwzględnieniem polskiego nazwiska. W początku lutego byłem już w posiadaniu nowej metryki, a że w niej nazwisko moje brzmiało „Winkler von Kętrzyński“, więc i profesorowie, gdy na wniosek mój władza uniwersytecka w papierach moich tę zmianę nazwiska urzędownie przeprowadziła, zmuszeni byli nazywać mnie odtąd „von Kętrzyński“. Byłem zatem Polakiem już nie tylko z przekonania, ale i z nazwiska, lecz jeszcze nie według mowy. Usposobienie i nastrój duszy mojej w owym czasie wyraża następujący poemat:

Wieder steh' ich auf dem heil'gen Boden
Meines heissgeliebten Vaterlandes;
Wieder seh' ich seinen grauen Himmel,
Seine Hügel mit den grünen Wäldern
Und der See spiegelhelles Antlitz;
Wieder hör' ich jene süssen Laute,
Jene Klänge meiner früh'sten Jugend,
Die seit lange mir verstummt schon waren,
Und nur manchesmal, wie Engelstimmen,
Leis und mild durch meine Träume bebten,
Als ich fern des heimatlichen Flures.
O, es waltete das Schicksal grausam,
Dass es mich so früh hinausgestossen
In die fremde Welt zu fremden Menschen,
Wo ich nie mich heimisch fühlen konnte,
Wo mir immer meine Heimat fehlte.
Und sie spotteten des armen Knaben
Jene Menschen mit den kalten Herzen,
Wenn sein Auge sich mit Tränen füllte
Und sein Herz sich sehnte nach der Heimat,
Nach der Heimat, die für ihn verloren
Wie das Paradies der ganzen Menschheit.
Und damit sein Land er ganz vergesse,
Jenes Land, das ihn geboren, hat man
Seiner Väter Glauben ihm entrissen,
Seiner Väter Sprache ihm entrungen,
Ihn gelehrt dem Vaterlande fluchen!
Glauben, Sprache konntet ihr mir nehmen,
Doch mein Herz nicht aus dem Busen reissen,
Und mein Herz blieb immer, immer polnisch!
Und ich hab' es immer tief empfunden
Jenes Weh, das auf uns Polen lastet,
Das ihr Menschen mit der fremden Sitte
Über uns gebracht seit hundert Jahren,
Und ich fühl' es jetzt nur um so tiefer,
Da ich fremde in der weiten Fremde
Und auch fremd auf heimatlichen Boden!

W r. 1862 bawiłem dwa miesiące u ciotki mojej w Warszawie, gdzie byłem świadkiem wspaniałych ówczesnych demonstracyj. W r. 1863 znajdowałem się w trudnym bardzo położeniu w Wilnie za czasów Murawjewa. Na jesień, będąc w drodze do Krakowa, gdyż chciałem ukończyć studia, zostałem zaarrestowany i odstawiony do Hausvogtei w Berlinie. W procesie, który się odbył w Moabicie, należałem do trzeciej kategorii, liczącej kilkudziesięciu oskarżonych, z których ja jeden zostałem skazany, chociaż zgrzeszyłem tylko przeciw przepisom policyjnym, towarzysząc przesyłce broni dla powstańców w Królestwie. Rok fortocy odbyłem 1865/66 w Kłocku, gdzie także przebywali pp. Stanisław Szaniński, Walerian Hulewicz, Waclaw Koszutski, Erazm Zabłocki, ks. Rymarkiewicz i p. Wolniewicz.

Otrzymałem zatem i rządowy patent na Polaka.

Co na to wszystko biedna moja matka? Nigdy nie słyszałem z jej ust ani słowa skargi, ani zarzutu, mimo to że sprawiłem jej dużo zmartwienia i troski i zawiodłem wszelkie jej nadzieje, które żywiła; pociechą było dla niej, że zdobył sobie pomimo wszystko stanowisko i egzystencję choć w stronach dalekich. Po śmierci siostry mojej zaprosiłem ją do siebie; wymówiła się, że nie chce i nie może rozłączyć się z miejscem, gdzie tyle lat życia przepędziła, i od grobów, które kryją, co dla niej było najdroższe.

IV

Zatrzymajmy się jeszcze nad jedną, dotkniętą już pokrótce stroną działalności Kętrzyńskiego.

Wspominało się, że był poetą. W Ossolineum, ognisku umysłowości w dobie porozbiorowej, to nie nowina.

Któż tutaj, od Fundatora począwszy, nie gadał z Muzami? Józef Sygiert, pomocnik bibliotekarza z czasów wiedeńskich; męczennik Konstanty Słotwiński; „rymarze“ popularni: Franciszek Bełdowski i Julian Kamiński; Karol Sienkiewicz, duch niespokojny z emigracji; spizowy August Bielowski; rozgłośny, na rękach noszony Wincenty Pol; Karol Szajnocha; syn Cypriana, Ksawery Godebski; rychło zamilkły Bruno Bielawski; bard styczniowego powstania, Mieczysław Romanowski; Maurycy Dzieduszycki; autor „Miateży“, Aureli Urbański; Antoni Małecki, i bliższy nam pieśniarz dziatwy, Władysław Bełza — to szereg ossolińczyków, z których każdy, „prawdziwy Polak, nie znający się na arytmetyce“, musiał przecie dać upust wrodzonej żyłce poetyckiej, czy nawet posiadał wieniec wawrzynowy.

Kętrzyński więc wchodząc w one progi nie sprzeniewierzył się i na tym punkcie tradycji zakładowej. Znany pamiętnik informuje nas, iż sześćioletni Winkler „popelniał pierwszy wiersz niemiecki na nauczyciela Saufa“ operującego pochopnie kańczugiem. Dwugodzinna za to ciemnica nie ochłodziła satyryka. Wierszujący rozlewnie w gimnazjum, rozwija szerzej skrzydła za podniętą profesora wszechnicy królewieckiej, mediewisty Giesbrechta. Lot górnieszy zaś, narodowy, bierze w r. 1856, od chwili otrzymania listu siostry. Stwierdza to sam w odsyłaczu do utworu „Entschluss“ w słowach: „*Dies Gedicht wurde niedergeschrieben, als ich das Bewusstsein meiner Nationalität wiedererlangt hatte*“.

Z onej to przędzy uczuć i myśli uwil się zbiór pt. „Aus dem Liederbuch einer Germanisierten“. Drukowany jako rękopis we Lwowie u Winiarza, z miejscem

wydania: „Königsberg in Preussen“, podlegał natychmiastowej konfiskacie. Sprawna policja pruska z posłuszną jej niewolniczo austriacką wzięły się z taką furią do roboty, że „inkryminowanych“ 36 stroniec małej oktawy przypadło bez śladu! Jedyne egzemplarz zachował się u autora, teraz wcielony do rękopisów Ossolineum pod numerem 5195. Ale ze stosu płomieni, na który rzucono brutalnie owe *Lieder*, wionęło jak protest — motto:

Glauben, Sprache konntet ihr mir nehmen,
Doch mein Herz nicht aus dem Busen reissen
Und mein Herz blieb immer, immer polnisch!

Z dwu różnych warstw składa się poezja Kętrzyńskiego. Jedna tkwi w niemieckich tradycjach literackich, co więcej, w psychice germańskiej. Stąd śpiewa, rzekłbyś, młodzieniec epoki „Tugendbundu“, młodzieniec o marzycielsko-rewolucyjnym idealizmie i o anakreontycznej radości życia. Warstwa druga wyrasta z przełomu, z dobytca dla się narodowości wydartej. W pierwszej, przy tonach głębszych, konwencjonalność, — druga nie tylko działa prawdą wewnętrzną, nutą na wskroś osobistą, ale dochodzi i do wyrazu własnego. I tu poezji tej, jak dostrzegł subtelnie Juliusz Kleiner, „rys tragiczny w fakcie, że to, co jej dało treść istotną, musiało ją zarazem stłumić, doprowadzić do zmlknięcia“. Czyż bowiem żarliwy już patriota, nie władający wszelako polszczyzną, mógł dalej tworzyć w języku obcym? Przeto złamie pióro.

Na talencie lirycznym nie zbywa Kętrzyńskiemu, chociaż uderza on w znane struny, choć słownictwo bogate i obrazowanie nasuwają analogie. A jednocześnie zastanawia duża muzykalność, opanowana rytmika. Przy

tym w stosunku do przyrody i do umiłowanej pociąga nieraz bezpośredniość, „intymność“.

Przed zaznaczanym duchowym przełomem poeta wielbi wolność, miłość, przyjaźń, wino. Kiedy mu pieśń nierzadko osmęci się melancholia, zagłuszy ją akordem męskim. Bo i tu, jak w pamiętniku, uwypukla się wszędzie człowiek dzielny, mocny, twardy mimo podległość miękkim sentymentom. Zgon dobrego przyjaciela wnosi po raz pierwszy akcent bólu. Dołącza się rychło utrata wiary dziecięcej i tęsknota za tą wiarą. Niebawem pocznie zakrawiać wiersze krzywdą Polski, a nienawiść do tyranów przybierze konkretną postać nienawiści ku trzem zaborcom.

Bieglejszy poszukiwacz źródeł i wpływów dociekłby niezawodnie, że poezja ta wiąże się z jednej strony z anakreontyką niemiecką, sięgając poprzez pieśń burszowską do anakreontyków wieku XVIII, a współcześnie wzór czerpiąc u Geibla — z drugiej zaś, jako wprost rewolucyjna, wolnościowa, solidaryzuje się i z poezją przed r. 1848, i z Teodorem Körnerem, i z Uhlandem. Patronem jej oczywiście Schiller. Wiele, mniemamy, zawdzięcza Heinemu, Lenauowi i Platenowi.

Związek z Platenem pochodzi z kultury klasycznej Kętrzyńskiego, o czym przekonywa jeden z najwięcej osobistych utworów, zatytułowany w rękopisie po grecku. Na stylizację klasyczną oddziaływała też zapewne i liryka szylerowska. Obok strofy safickiej, dystychów elegiackich, ciągnie się długi wiersz szesnastozgłoskowy, podobny platenowskiemu opisowi pogrzebu Alaryka.

Strój pieśni miłosnej nieraz heinowski. Dowodem tych parę wyrażen: „Und die Tannen flüstern leise“...

„Was dieses soll eigentlich heissen, Habt oft ich nachgedacht“. Albo taki czterowiersz: „In Feierstille versunken Liegt unsre lustige Stadt, Die so viel trocken Pedanten Und dumme Tröpfe hat“... Nie inaczej chyba ozwałby się „*der blasse Heinrich*“?

Gdy zaś idzie o nastroje krajobrazu, wtedy z Heinem sprzymierza się Lenau. Wszak piękne istotnie „Die Schimken“ skrojone są według Lenaua. Melodyjność jego przepaja i „Am Seeufer“.

Goethe w młodym pocięciu mniej budzi oddźwięków niż Schiller. Stanisław Tarnowski wybaczyłby mu to niewątpliwie. Gloryfikatorowi Tella pozostanie zresztą Kętrzyński wierny i w wieku dojrzałym, czytując go z upodobaniem.

Jakże zaś płaczą się motywy anakreontyki niemieckiej z motywami Anakreonko-Horacjuszowej filozofii? Brzmia tutaj również pogłosy bardyzmu i echa pieśni ludowej. A gdy trubadur miłosny zmieni się w patriotycznego śpiewaka nienawiści, można by myśleć o Herweghu. Wiersz „Auf der Masovia“ pokrewny jest byronowskiemu pożegnaniu Childe Harolda.

Poczuwszy się Polakiem (choć jeszcze bez „pamentu“) opieje Kętrzyński Wernyhorę, przetłumaczy Karpińskiego, Olizarowskiego i „Boże coś Polskę“. We własnej zaś poezji, w szeregu utworów, jak: „In der Heimat“, „Trost“, „Weisser Adler“, „Die Schimken“, „Klage“, „Abschied“, „Es geht ein leises Sagen“ — wyrazi z nie mniejszą siłą coraz to potęgującą się miłość Polski. Zachmurzy go wprawdzie na krótko odczucie podwójnej obcości, wśród wrogów, co mu wydarli wszystko, i pośród swoich:

Einsam steh ich, kalt, verlassen,
Ohne Gott und Vaterland —

ale nie zejdzie już z obranej sercem drogi, nie ugnie się, najhartowniejszy a nieskazitelny. Odtąd programem życia bojownika stanie się walka w imię Polski.

Pojedyncze kartki „Liederbuchu“ przegradza biały papier. Wracający widno myślą do młodości i przejść jej burzliwych, czynił tu Kętrzyński i na marginesach sporo wariantów. Domieścił nadto rzecz większą: skargę po zgonie najmłodszego dziecka. Napisze ją po niemiecku, bo długo jeszcze mowa obca była mu naturalnym wyrazem duszy, — da wszakże drżącą ręką nagłówek: „Śmierć Władziuma“.

I ten jest onej poezji wydzwięk ostatni.

V

Wiadomo — wielkie gotowały się sprawy, gdy gasło życie Kętrzyńskiego.

Zaniemógł skutkiem złamania nogi w drodze wiodącej do biura. Niebezpieczne to zawsze dla starców, jakoż i w tym żalonym wypadku, wobec różnych powikłań, okazało się śmiertelne. Kętrzyński był sam — przeniesiony do sanatorium, cierpiał w milczeniu. Łudził się wprawdzie czasem możliwością poprawy zdrowia, lecz nie odpędzał i myśli o bliskim już końcu.

Nie miał czym rozporządzać, agendy biblioteczne powierzał wybranemu, o krzywdach doznanych zapominał po chrześcijańsku. Wyrozumiałość bowiem, pobłażliwość posuwał teraz do najdalszych granic. „Dusza ludzka“ — mógłby powtórzyć za Platonem — „widzi

tym jaśniej, im bardziej zatracca się zdolność patrzenia oczu naszych“.

Oczekiwał syna, pobladłym wzrokiem szukał na ścianie krzyża, to znów w momentach ulgi żądał dzienników, aby w nich śledzić wyroki dopełniającej się sprawiedliwości dziejowej, lub też wertował kartki znalezionej właśnie w Kruszynie „Kroniki Galla“.

Ale uczynił jeszcze jedno: zerwał nić wątlą, która wszakże zdawała mu się najcięższym z łańcuchów!

Nocy styczniowej rozpoczęła się agonja i jakby uparte pasowanie się ze śmiercią organizmu Juranda-olbrzyma.

Po zgonie zaś kurator Zakładu, Andrzej ks. Lubomirski, otrzymał pismo o następującym brzmieniu: „W chwili, kiedy przyjąłem śp. Wojciecha Kętrzyńskiego na łono Kościoła, powiedział do mnie te słowa: *Dotąd byłem złączony z Ojczyzną tylko węzłem narodowości. Teraz jam z nią spojony także węzłem świętej Wiary katolickiej. Ogromnie za to jestem wdzięczny Bogu. Możesz to, Arcypasterzu nasz, powiedzieć całemu światu.* Józef Bilczewski“.

Oto religijne i narodowe *Credo* Odniemzonego.

AUS DEM LIEDERBUCH
EINES GERMANISIERTEN

1854 — 1862

IN DER FREMDE

Weh, ein Flüchtling hier im Leben,
Ein Verfolgter vom Geschick,
Steh' ich da allein, verlassen,
Trotz und Hass in meinem Blick.
Rings um mich nur kalte Herzen,
Fremd die Menschen, fremd das Land,
Fremd die Weise, die mir aufdrängt
Meines Schicksals rauhe Hand.

Und von aller Welt verstossen,
Ohne Freunde, heimatlos,
Irrt' ein Kind ich in der Fremde
Und der Schmerz nur zog mich gross.
Früh schon hab' gelernt ich hassen,
Früh schon nährt' ich bitterm Groll,
Und mein Herz, es ward zum Kelche,
Der von herben Qualen voll.

Immerhin mögt ihr mich höhnen
Und verspotten meinen Schmerz,
Unversöhnlich bleibt auf ewig
Euch, Ihr Fremden, dieses Herz.

Was am Grabe meines Vaters
Ich mit frommem Sinn gelobt,
Werde treu und fest ich halten,
Bis dies Leben ausgetobt.

Und ob auch das Schicksal zürne,
Abhold meinem ernsten Tun,
Nichts vermag mich zu erschrecken,
Meine Seele kennt kein Ruhn.
Rastlos, wie das Blut im Körper,
Unermüdlich ist mein Sinn —
Und dem Schicksal, wenn es zürnet,
Werf' ich kühn den Handschuh hin.

IN DER KIRCHE

Frommt's den Schleier aufzuheben,
Wo das nahe Schrecknis droht?
Nur der Irrtum ist das Leben
Und das Wissen ist der Tod!

Schiller.

Ich stand in der festlichen Kirche,
Von Orgeltönen umrauscht,
Und hab' in stummer Verzweiflung
Der betenden Menge gelauscht.

Ich dachte zurück an die Kindheit,
Wo ich geglaubt und geliebt,
Wo keine Zweifel die Reinheit
Der schuldlosen Seele getrübt;

Wo fromm ich die Hände noch falten,
Zu Gott noch beten gekonnt,
Wo Freude, Friede und Ruhe
Mir noch in dem Busen gewohnt;

Wo glücklich ich wallte auf Erden
Im lieblich täuschenden Wahn
Von Gott, Erlösung und Jenseits —
Ein hoffender Pilger die Bahn.

O teuer erkauf't' ich Erkenntnis
Und schrecklich hab' ich's gebüsst,
Dass ich mit frevelnden Händen
Den Saïs'schen Schleier gelöst.

AN AUGUST KUSS

I

Unablässig, unaufhörlich schwingt des Todes bleich
[Gerippe
Über Jünglinge und Greise seine Sichel, seine Hippe;
Unerbittlich, ohne Rührung mäht er hin die schönsten
[Blüten,
Die gleich duft'gen Purpurrosen in dem Lenz des
[Lebens glühten;

Haucht auf ihre Purpurlippen seinen Gifthauch, dass
[sie blassen;
Schreckt den Geist im Fieberwahnsinn mit Gesichten,
[wilden, grassen;
Schlinget seine Knochenarme um den zarten Leib des
[Kranken,
Dass die glüh'nden Pulse stocken, dass hinschwinden
[die Gedanken.

Aus dem schönen Traum des Lebens, diesem ewig
[bunten, neuen,
Aus dem Rosenduft der Sonne in das Grab, das alle
[scheuen,

Aus dem Dasein in das Nichtsein — schrecklich ist
[fürwahr, dies Tauschen!
Blasser Tod, an diesem Hause wollest Du vorüber-
[rauschen!

II

Ist es wirklich, ist es Wahrheit, was die Sage mir
[erzählt,
Was mir zwar der Mund der Freunde, aber nicht ihr
[Aug' verhehlt?
Soll ich glauben dieser Kunde, die mein Innerstes
[durchdringt,
Dass mein Freund, mein Seelenbruder, mit dem blassen
[Tode ringt?

Dass er vor des Todes jähem, unerforschtem Abgrund
[steht,
Der hinab ins unbekante, ungewisse Jenseits geht,
Dass sein Stundenglas verronnen, seine Bahn
[vollendet ist,
Dass sein Geist mit leisem Beben Plutos Schattenreich
[begrüsst!

Möge Deine letzte Stunde eine milde, sanfte sein,
Mög' ein Gott Dir neue Kräfte zu dem letzten Kampf
[verleih'n;
Mög' ein milder, sanfter Schlummer lösen Deiner
[Glieder Band
Und den Geist hinüberführen in sein neues Vaterland!

III

Trüb der Himmel, grau die Wolke, die das zarte
[Blau verhüllt,
Eisigkalt der rauhe Nordwind, der dahin braust keck
[und wild;
Ringsum Schnee, wie weit das Auge durch die wüsten
[Fluren blickt,
Überall hat See und Ströme kühn der Winter
[überbrückt.

Regungslos und still und schaurig ist die weite,
[grosse Welt:
Tot und öde sind die Fluren, die Natur ein Leichenfeld;
Keine Spur vom regen Leben, das der Lenz der Welt
[verliehn,
Keine Spur vom Herbstesprangen, von des Sommers
[üpp'gem Grün.

Aber wenn mit leisen Schwingen Lenz der toten
[Erde naht,
Schmückt er, kränzt er sich mit Blumen und mit
[Blüten seinen Pfad;
Alles sprosst und regt sich wieder, Nachtigallen
[baun ihr Nest,
Und die Welt, die winterstarre, feiert dann ihr
[Osterfest.

Aber Dich, den jetzt des Todes ewig starrer Winter hält,
Dich begrüsst kein Lenzesprangen, keines Lebens
[neue Welt;

Ruhig schlummerst Du im Grabe, fühlst nicht Sorge,
[fühlst nicht Schmerz,
Fühlst nicht mehr, was auf der Erde leidet ein
[gebrochen Herz.

Neigt die Rose sturmentblättert sterbend auch ihr
[zartes Haupt,
Mit dem Lenz erwacht sie wieder, schöner als sie's
[je geglaubt;
Doch der Mensch, die schönste Blume, die die Mutter
[Erde zieht,
Ist, wenn einmal er geschieden, ach, auf ewig
[hingebliht!

LENZ UND LIEBE

Wenn der Frühling küsst die Erde,
Schmilzt des Schnees weisse Hülle,
Sprengt der Strom des Winters Bande,
Dass den Jugendmut er stille.

Wenn der Frühling küsst die Erde,
Strahlt die Sonne wonnig milde,
Lacht ein wolkenloser Himmel
Über blühendem Gefilde.

Wenn der Frühling küsst die Erde,
Blühen duftig alle Bäume,
Sprossen prangend farb'ge Blumen,
Wie phantastisch schöne Träume.

Wenn die Liebe küsst die Seele,
Taut des Herzens eis'ge Rinde,
Weichen Gram und bitter Schmerzen,
Flieht erschreckt die Lust der Sünde.

Wenn die Liebe küsst die Seele,
Weiht Freude unser Leben,
Und es lacht der Reiz der Jugend
Und es kräftigt sich das Streben.

Wenn die Liebe küsst die Seele,
Sprosst das Herz gar süsse Weisen,
Die zu zartem Lied sich einen,
Um Dich, Liebliche, zu preisen.

ERMUNTERUNG

Duftig blüht die Rose noch und die Rebe;
Purpurn glüht noch uns im Pokal das Blut der
Traube und die wonnige Jugend kränzt noch
Unsere Locken.

In dem Auge lodert noch wild das Feuer
Unsrer Kraft, die jetzt noch ungeschwächt ist,
Und der Sturm, wie wild er auch immer rase,
Tötet sie nimmer!

Darum, Freunde, reisset entzwei die Binde,
Die bis jetzt verhüllte des Lebens Frohsinn!
Werft die Sorge ab, die so lange Euer
Leben verdüstert!

Stürzet froh jetzt in des Genusses Strudel;
Schwärmt beim Weine jetzt und bei Festgelagen;
Fehlet nicht, wo lieblich sich dreht der Reigen
Lockiger Mädchen.

Haltet fest die Stunde, die Euch sich darbeut *;
Was sie bringt, kehrt nimmer so schön Euch wieder;
Und die Blume, die Ihr nicht pflückt, sie pflücket
Morgen ein andrer!

* darbietet.

Ach, zu schnell entrinnen der Jugend goldne
Tage und mit flüchtigem Schritte naht das
Greise Alter, das ja von selbst schon wehret
Bechern und Liebe.

Naht ein Tag, der ewig für uns der letzte,
Eine Nacht, die nimmermehr weicht, ein Grab, das
Alle Freuden, jeden Genuss des Lebens
Endigt für immer!

ANAKREON

Frommer Wanderer, der an leichtem Stabe
Durch diese Fluren eilt,
Bleibe stehn und geuss * den Trank der Labe,
Der alle Schmerzen heilt,
Betend in die ros' umkränzte Schale
Und weih' den Manen ihn,
Dass mein Geist in Plutos dunklem Tale,
Wo keine Reben blühn,
Nippe noch den süssen Trank der Labe,
Den süssen Feuertrank,
Den als Jüngling ich, als Greis am Stabe
In meinen Liedern sang.

* giess.

STÄNDCHEN

O schlummre, trautes Liebchen,
In Frieden und in Ruh'
Und schliess' die dunklen Augen,
Die seelenvollen, zu.

Es steig' der Engel schönster
Herab Dir sanft und mild
Und hauch' um Deine Seele
Der Träume gaukelnd Bild.

Er stille Deine Tränen,
Wenn Dich ein Kummer drückt,
Und füll' Dein Herz mit Hoffnung,
Die jede Brust beglückt.

Er mahn' Dich auch im Traume
An den, der heiss Dich liebt,
Und gerne für ein Lächeln
Die reichsten Schätze gibt.

So schlummre, trautes Liebchen,
Ist finster auch die Nacht —
Der Engel Deiner Unschuld
Hält über Dir die Wacht!

MACHT DER LIEBE

Vor keinem beug' ich mein stolzes Knie,
Und wär's auch der mächtigste König,
Und böt' er Schätze des Weltalls mir,
Ich acht' gering es und wenig.

Ich bin so stolz, wie's kein Kaiser ist,
Der weite Gebiete regieret;
Mein Sinn ist gross und mein Trachten hat
Das Höchste hier sich erküret.

Doch wenn ich stehe vor Dir, die mild
Mich anschaut mit freundlichen Blicken,
Dann fasst mich kühn, dann durchbraust mich wild
Ein namenloses Entzücken.

Dann möcht' ich beugen mein stolzes Knie,
Mit glühendem Arm Dich umstricken,
Nur immer Dir in Dein Auge hell,
Das liebeblühende, blicken.

An meine Lippen möcht' pressen ich
Die lieblichen Händchen, die kleinen,
Und tief gebeuget vor Dir das Knie,
In sel'ger Trunkenheit weinen!

DAS MÄDCHEN VOM WALDE

I

Nicht weit von hier im Walde,
Da steht ein kleines Haus;
Es geht dort alle Tage
Mein Liebchen ein und aus.

Sie ist die schönste Blume,
Die in dem Walde blüht,
Und wie des Himmels Sterne,
Ihr dunkles Auge glüht.

Und wie die Aeolsharfe,
Ist ihrer Stimme laut,
Und wie die stolze Tanne,
Ihr schlanker Leib gebaut.

Und wie die Rosenknospe,
Vom milden West geküsst,
So schwellend und verlockend
Ihr Purpurmündchen ist.

Und diese schöne Blume,
Die schönste in dem Hain,
Sie war und ist mein Eigen
Und soll es ewig sein.

Und abends, wenn Selene
Mild lächelnd niederstrahlt,
Dann wandeln wir zusammen
Leis flüsternd durch den Wald.

Wir scherzen und wir kosen,
Umweht vom Geist der Nacht,
Bis dass im fernen Osten
Der frühe Morgen lacht.

II

Die Geißel knallt und das Posthorn schallt,
Die Rosse fliehen wie Winde,
Ihr mächtiger Hufschlag durchdröhnt den Wald
Und seine düsteren Gründe.

Sie tragen fort mich in hastigem Flug
Von dort, wo gerne ich bliebe,
Wohin mich des Herzens gewaltiger Zug,
Die Sehnsucht treibt und die Liebe.

Ich schau betrübt zum Wagen hinaus,
Das Aug' von Tränen umdüstert;
Dort steht, wo sie wohnet, das einsame Haus,
Von schlanken Tannen umflüstert.

Und Küsse send' ich hinüber zu ihr,
Und meine Seufzer, die bangen;
Leb' wohl, lebe wohl, bald wird wieder zu Dir
Mich führen heisses Verlangen.

Die Geißel knallt und das Posthorn schallt,
Die Rosse fliehen gleich Winden
Und weinend seh' ich im dunklen Wald
Der Liebchen Heimat entschwinden.

AM SEEUFER

Leise wehen Abendlüfte
Und die Sterne glühn, die hellen,
Und es taucht der Mond sein Antlitz
In die blaue Flut der Wellen.

Rings ist's still; und tiefer Friede
Senkte sich zur Erde nieder,
Und nur aus den Fliederbüschen
Schallen Nachtigallenlieder.

Und wir sitzen noch am Ufer —
Und die Wellen rauschen leise,
Und sie flüstern und sie tönen
Eine wundersame Weise.

Und Du hörst die Wellen rauschen —
Doch Du weißt nicht, was sie sagen,
Weisst nicht, dass sie Dir mein Lieben
Und mein heisses Sehnen klagen.

AUF DER MASOVIA¹

Ade, ade, die Welle schäumt,
Der Dampfer braust von hinnen;
Der See, von grüner Au umsäumt,
Lacht freundlich meinen Sinnen.
Die Wolke hat mit duft'gem Grau
Umhüllt den weiten Himmel
Und unten spielt im Wellentau
Der Fische bunt Gewimmel.

Die Mów' umkreist mit wildem Schrei
Des Dampfers feste Balken,
Und wachgeschreckt steigt auf der Weih,
Als jagten keck ihn Falken.
Es braust der Dampf wild durch den Schlot
Und durch die Flut, die grüne,
Als gält' es Leben oder Tod,
Jagt rastlos die Maschine.

Und immer weiter wird der Raum,
Der zwischen uns sich windet,
Und immer weiter, wie ein Traum,
Dein Heimatland entschwindet,

¹ Ein Dampfer, der in jener Zeit zwischen Rhein und Johannisburg kursierte.

Dein Heimatland, Dein Heimatland,
Wo Glück mich süß umflossen,
Wenn Deine weiche, zarte Hand
Mich liebend hielt umschlossen.

Leb' wohl, mein Lieb; leb' wohl, mein Glück,
Mein heissgeliebtes Leben!
Die Welle schäumt und rauscht zurück
Dir meinen Gruss zu geben.
Leb' wohl, mein Lieb, in stummem Schmerz
Seh' ich das Land entschwinden,
Wo Dich dies hartbedrängte Herz
So glücklich war zu finden.

LIEBESWONNE

O welche Wollust, welche Wonne,
O welche freudetrunkne Lust,
Wenn Deinen Leib mein Arm umschlungen
Und Du an meinem Busen ruhest;
Wenn Lipp' und Lippe sich vereinen,
Ein Auge in das andre blickt,
Und Deiner Rede süsster Nektar
Mich in's Unendliche entzückt.

O dreimal seliges Umfängen!
Kaum bin ich meiner noch bewusst,
Kaum denk' ich noch an Hass und Fehde
Und an der Rache süsse Lust.
Ha, Sterbliche, erkennt die Fülle
Des Glückes, das mich süß umfließt;
Nicht neid' ich Euch, erhabne Götter,
Die ewig Nektar Ihr genießt.

Ich bin berauscht von süsster Liebe,
Ich glüh' in fesselloser Lust,
Ich halte feurig Dich umschlungen
Und presse Dich an meine Brust.
Wer diese Seligkeit empfunden,
Wer dies erlangt hat vom Geschick,
Der hat gefühlt die grösste Wonne,
Der hat erlangt das höchste Glück.

O nimm nicht weg die zarten Arme;
Ich ruh' so sanft, ich ruh' so weich;
O halte glühend mich umfängen,
Dann bin ich glücklich, bin ich reich.
O selig, selig über alles,
Wem solche Maid im Arme liegt
Und ihre üppig schönen Glieder
An ihm, den Hochbeglückten, schmiegt.

Und ob die Erde spräng' in Trümmer
Und strafend nahte das Gericht,
Ob der Komet die Welt vertilgte,
Ich lass' Dich nicht, ich lass' Dich nicht!
Mag immerhin die Welt versinken
Und der Vernichtung Schutt und Graus,
Ich trank der Liebe goldnen Becher
Bis auf den letzten Tropfen aus!

So sanft in Deinen Armen ruhend,
So schlummernd süß an Deiner Brust,
So wonnig atmend zu geniessen
Der Liebe schönste, süsste Lust —
O möcht' ein Tod mich überraschen,
Der sanft und mild herniederschwebt,
Ich würde ihm entgegenjauchzen:
Ich hab' geliebt, ich hab' gelebt!

DAS KÜSSCHEN¹

Ach, ein Küsschen, ja ein Küsschen
Willst Du, Freund, von mir;
Ei, so nimm es ohne Zögern
Auf der Stelle Dir!

Doch Du darfst es Niemand sagen,
Dieses schwör' mir zu;
Denn, wenn Jemand davon wüsste,
Fänd' ich nimmer Ruh';

Denn wenn Jemand davon wüsste,
Was Dein Sinn begehrt,
Dass ich mich von Dir liess küssen
Und mich nicht gewehrt,

O, wie würde ich mich härmern,
Schämen ach, wie sehr,
Und ein Küsschen, ja, ein Küsschen
Gäb' ich Dir nicht mehr!

¹ Nach einem polnischen Volksliede.

LEBE WOHL!

Lebe wohl, mein stolzes Mädchen,
Morgen zieh' ich in die Ferne,
Wenn noch hoch am blauen Himmel
Leuchten Millionen Sterne.

Heimlich will ich von Dir scheiden,
Deinen Fesseln mich entringen,
Denn ich weiss, dass Deine Augen
Mächtig sind und mich bezwingen.

Zwar wird's schwer mir, aber dennoch
Werd' ich's kühnen Mutes wagen,
Und ob auch das Herz mir breche,
Dennoch werde ich nicht klagen.

Wandern will ich, wandern, wandern
In die nebelgraue Ferne,
Dass ich dorten meine Liebe
Und auch Dich vergessen lerne.

SONETT

Der Frühling schwand mit seinem duft'gen Prangen,
Die Nachtigallen flohn; verstummt im Haine
Sind ihre Lieder, die so lieblich klangen,
Und matt das Grün auf sonndurchglühtem Raine.

Und alles anders, alles ist vergangen;
Ich fühl' es tief, wenn froh ich auch erscheine;
Erstorben ist mein Sehnen und Verlangen
Und kalt mein Herz, als läg's im Totenschreine.

O Frühling war's, als wir uns beide fanden,
Und Frühling, als wir Liebe uns gestanden
Und Herz an Herz wir beieinander ruhten.

Du brachst Dein Wort, das Du mir einst gegeben;
Mein Glück ist hin, vergiftet ist mein Leben
Und tausend Wunden in dem Herzen bluten.

ABENDLANDSCHAFT

Den Abendhimmel umdüstert
Der Wolken duftiger Flor,
Und lächelnd schaut aus denselben
Der bleiche Mond hervor.

Ein mächt'ger Riese erhebt sich
Hoch in die Lüfte hinaus
Der Dom des heiligen Ritters,
Das alte Gotteshaus.

Das Mühlrad poltert und klappert
In unbezähmbarer Hast,
Die Guber murmelt und rauschet
Und gönnt sich keine Rast.

In Feierstille versunken
Liegt unsre lustige Stadt,
Die so viel trocken Pedanten
Und dumme Tröpfe hat.

Und von den Gärten der Guber
Tönt nieder lustiger Sang,
Der Freude jauchzendes Rufen
Und lauter Becherklang.

Dort jubeln brave Gesellen
Vom lust'gen Burschenverein,
Die froh ihr Leben geniessen
Bei Becherklang und Wein!

ENTSCHLUSS¹

Fahre hin, Du Glück der Liebe, das im Herzen mir
[geblüht;
Lebe wohl, Du rote Rose, die des Gottes Flammen
[sprüht;
Lebe wohl, Du schönes Mädchen, das mein Herz in
[Fesseln band;
Lebe wohl, Du Licht der Augen, deren Strahl ich oft
[empfand.
Von den eitlen Tändeleien, von den Freuden, von dem
[Scherz
Wendet sich dies gramzerrissne, ahnungsvolle, kranke
[Herz;
Nein, ich will nicht mehr der schönen Preussenmädchen
[Sänger sein,
Sing' nicht mehr das Glück der Liebe, heitren
[Frohsinn, Scherz und Wein.
Jetzt nur ruft mein Lied zum Kampfe, zum Gewühi
[des Kriegs, zum Streit,
Zur Empörung und zum Aufruhr, da es Hass
[und Rach' gebeut*;

¹ Dies Gedicht wurde niedergeschrieben, als ich das Bewusstsein meiner Nationalität wiedererlangt hatte.

* gebietet.

Zu dem Sturz der Potentaten, die die Heimat mir
[geraubt,
Die in's Joch, in's eh'rne, beugen Polens sieggekröntes
[Haupt.
Ha, es soll Euch nicht gelingen! Hütet Euch, der
[Rächer naht!
Wir erkämpfen uns das wieder, was Ihr nahmet
[durch Verrat;
Raubtet Ihr gleich unsre Freiheit, unser Mut
[bleibt unbesiegt;
Polens Kraft ist nicht gebrochen, wenn es auch
[in Fesseln liegt.

1856

ZWEIFEL

Es waltet droben über den Gestirnen,
Glaub' mir es, kein gerechter Gott;
Ein blindes Fatum hörst Du grollend zürnen,
Das Dir mit Gram und bitterm Schmerzen droht.

Nicht einen Stern der Liebe siehst Du blinken;
Tot ist die ganze, weite Welt!
In diesem Wirrsal musst Du untersinken,
Was ist's denn, das Dich aufrecht hält?

IM JANUAR 1857

Ein drohendes Jahrhundert schwebt über uns dahin,
Wie dunkle Wetterwolken, die blitzschwanger glühn,
Es zagt das Herz und banget und harret besorgt der Zeit,
Wo ihm sich zu entladen des Urgeists Wink gebeut*.

Ein Sturm durchtost die Lande, durchbraust die Welt
[mit Macht
Und hat die Glut der Herzen von neuem angefacht;
Er rüttelt an den Thronen, stürzt ihre Säulen um
Und macht die stolzen Herrscher vor Schrecken bleich
[und stumm!

Das Selbstgefühl des Volkes, wie mächtiger Orkan,
Kämpft mit dem Despotismus, dem dunkeln, finstern
[Wahn;
Entreisst den Autokraten, was sie sich angemast
Und hat des Staates Lenkung mit kühner Hand erfasst.

Gewaltig war das Ringen, da dieser Kampf begann,
Da die Idee der Freiheit des Volkes Herz gewann.
Es zitterten die Fürsten, von diesem Sturm bedroht,
Und zogen auf die Walstatt; ihr Banner war der Tod.

* gebietet.

— 85 —

Da donnerten Kanonen, da klirrte Schwerter Schlag,
Da grüßten Schlachtgesänge der Freiheit ersten Tag;
Und Helden, jung und edel, beseelt von heil'ger Glut,
Besiegelten die Freiheit mit ihrem Purpurbhut.

Noch hat der Kampf kein Ende; er dauert stets noch
[fort;

Noch ist der Tag der Freiheit von Wolken schwarz
[umflort;

Noch kämpfen die Despoten — verhüt' es, Herr der Welt,
Dass jetzt die Schweiz zum Opfer dem Mörder Polens
[fällt.

IM FRÜHLING

Schon verrauscht sind Winterstürme,
Schon geschmolzen Eis und Schnee,
Schon ergrünt rings die Wiesen
Und der Kahn durchzieht den See;
Schon erblühen tausend Blumen,
Blüten treibt ein jeder Baum,
Und in Frühlingspracht gekleidet
Strahlt der unermessne Raum.

Ja, der Lenz, der holde Knabe,
Hat die Erde wachgeküsst
Und mit wonnesüßem Lächeln
Seine süsse Braut gegrüßt:
Segnend hat er seine Hände
Über Berg und Tal gestreckt
Und der Menschheit Glück und Segen,
Ruh' und Frieden neu erweckt.

Und die Nachtigallen singen,
Und der Chor der Vögel schallt,
Und mit flücht'gem Fuss durcheilet
Froh das Wild den duft'gen Wald;
Und der Landmann jauchzet Lieder
Und die Maid lacht hochbeglückt,
Wenn der Bräutigam mit Veilchen
Ihre dunklen Locken schmückt.

Doch nur ich neig' bitter weinend
Auf die Brust herab mein Haupt,
Eine Eiche, die des Lebens
Stürme ach, zu früh entlaubt.
Alle ach, entzückt der Frühling,
Allen jubelt froh das Herz,
Doch nur meine Brust erfüllet
Ewig namenloser Schmerz.

Einsam steh' ich, kalt, verlassen,
Ohne Gott und Vaterland,
Ohne Freuden, ohne Frieden,
Ruhe hab' ich nie gekannt;
Und mein böser Dämon treibt mich
Ohne Ruh' und ohne Rast,
Und vernichtend hat der Strudel
Meines Lebens Kahn erfaßt.

Müde bin ich, totenmüde,
Von dem wilden Kampf erschlafft
Und zerrissen sind die Sehnen
Und gebrochen meine Kraft.
Und ich neige bitter weinend
Auf die Brust mein Haupt herab;
Möchte bald mich doch umfassen
Deine Ruhe, tiefes Grab!

IN DER NEUJAHRSNACHT

Wolken hüllen rings den Himmel
Und die Nacht ist trüb und dunkel,
Und hernieder leuchtet freundlich
Keines Sternes licht Gefunkel.

Und die Tannen flüstern leise,
Wehmutsvoll und bang sie klagen,
Und in ihren Zweigen rauschen
Schauerlich geheime Sagen.

Und der Süd mit mildem Hauche —
Flüsternd bebt er in dem Haine,
Und hernieder tropfet Regen,
Gleich als ob der Himmel weine.

Und in seine Tränenperlen
Misch' ich heisse Schmerzenszähren;
Ach, wie lang wird unser Elend
Auf der dunklen Erde währen?

Ruhe such' ich, tiefe Ruhe,
Dass vom wilden Kampf ich raste,
Denn nur Qual und bittere Schmerzen
Beut * das Leben, das verhasste.

* bietet.

O, dass man auch mich zu Grabe
Jetzt wie dieses Jahr hinbrächte;
In der Tiefe nur wohnt Friede,
Ruh' nur in der Nacht der Nächte!

DAS GLÖCKCHEN

Hell prangt am Himmel die Sonne,
Leis flüstert die Föhre im Hain,
Und Zephyr mit rauschenden Schwingen
Schwatz mit dem Wãndrer allein.

Rings tiefe Stille und Schweigen,
Wie weithin mein Auge auch sieht,
Und nur in den Lüften ertönet
Der Lerche trillerndes Lied.

Ich aber stehe und sinne,
Gelehnt an den blühenden Baum,
Und schau' mit zerrissener Seele
Den weiten endlosen Raum.

Da tönt vom Dörfchen ein Glöckchen
Mit wundersam lockendem Klang,
Da klingt's aus der Ferne, wie Beten,
Wie frommer Menge Gesang.

Ich hör' das Glöckchen erklingen;
Es füllt sich mit Tränen mein Blick;
Wie ruft es den irrenden Spötter
Zum Glauben der Väter zurück!

DIE BETENDE

Feierlich und still und düster
Sind des Gotteshauses Hallen,
Wohin alle Schwerbedrãngten,
Um sich Trost zu holen, wallen.

Auf den Stufen des Altares
Kniet, von Andachtsglut umfangan,
Eine Jungfrau, hold und reizend,
Doch erleicht sind ihre Wangen.

Seufzend hebt sie zur Madonna
Auf das Aug', das tränenfeuchte —
Stürmisch wogt ihr zarter Busen,
Dem ein Gott die Ruh' verscheuchte.

Krampfhaft zucken ihre Lippen,
Stammeln murmelnd süsse Laute,
Da der benedeiten Jungfrau
Ihren Schmerz sie anvertraute.

Dann nach brünstigem Gebete
Steht sie auf; wird sie gesunden?
Hat Madonna sie erhöret?
Hat sie Ruh' und Trost gefunden?

DAS MADONNENBILD

Geborsten ist die Mauer,
Zernagt vom Zahn der Zeit,
Und um die öden Trümmer
Rankt Efeu weit und breit.

Und in der öden Nische
Steht der Madonna Bild;
Um ihre Stirne brauset
Der rauhe Nordwind wild.

Mit Wehmut in den Augen
In's weite Land sie schaut,
Wo jetzt ein andrer Glaube
Sich Tempel aufgebaut.

Und schweren Herzens denkt sie
Zurück an jene Zeit,
Wo diese heil'ge Stelle
War ihrem Dienst geweiht.

Da prangte ihre Büste
Von Gold und Edelstein
Und zarte Silberlämpchen
Ergossen lichten Schein;

Da zog manch stolzer Ritter
Von seiner Burg herab
Und nahm vor ihrem Bilde
Den Stahlhelm betend ab;

Da knieten schöne Mädchen,
So lieblich wie der Tag,
Und klagten ihr, der Reinen,
Ihr Leid und Ungemach;

Da kränzte man mit Blumen
Andächtig noch ihr Haar,
Da sang ihr Lobeshymnen
Die fromme Priesterschar.

Und jetzt — in öder Nische
Steht ihr verfallen Bild,
Und um der Mauer Trümmer
Schlingt sich der Efeu wild;

Und wandernd kommt kein Pilger
Zu ihr in seinem Leid,
Kein Mädchen, das in Andacht
Ihr fromme Kränze weiht;

Und selten nur noch steigen
Gebete zu ihr auf —
O heil'ge Mutter Gottes,
Ist das der Dinge Lauf?

GEBET

Heil'ge Jungfrau, dulcis virgo,
Senk' auf mich Dein Auge nieder;
Hör' auf meine bangen Seufzer,
Auf die Klagen meiner Lieder.

Stille meine tiefen Schmerzen
Die den Busen mir durchwühlen;
Lass mich, was ich lang entbehret,
Endlich einmal Ruhe fühlen.

Heil'ge Jungfrau, dulcis virgo,
Ja, Du kannst es, ist's Dein Willen;
Tausend Engel stehn, gewärtig
Deine Wünsche zu erfüllen.

DER SCHIFFER

Es sitzt in der Gondel der Jüngling
Und steuert durch die Flut,
Und sinnend sein glühendes Auge
Auf leisen Wellen ruht.

Das Blau und die goldenen Sterne,
Der Mond mit seiner Pracht,
Die haben mit magischem Zauber
Die Wasser angelacht.

Und seufzend erbebt seine Lippe,
Das Herz pocht unmutsvoll,
Und perlend die bittere Träne
Dem dunklen Aug' entquoll:

„Wie bist Du so ruhig und stille,
Du grosses, weites Meer;
Wie spiegelt in Dir sich so friedlich
Der Himmelssterne Heer“.

„Wie lockt Dein melodisches Rauschen,
Als wär's ein Zauberlied,
Das mir mit unendlicher Wehmut
Die tiefe Brust durchzieht“.

„Wie lächelst Du freundlich und heiter,
Als wär' es Liebchens Blick,
Der Blick, der so fromm und so milde
Und voll von sel'gem Glück“.

„Ja, tief in dem Schosse des Meeres
Auf purpurdüstrem Grund,
Da wohnt besel'gende Ruhe,
Dort wird das Herz gesund!“

„Ja, tief in die Fluten des Meeres
Möcht' stürzen ich hinab,
Um dort für der Ewigkeit Dauer
Zu ruhn im Wogenrab“.

Er sprach es und lieblicher rauschte
Die dunkelblaue Flut,
Und schimmernd erglänzte die Welle
In wundersamer Glut,

Und aus dem kristallinen Meerschloss
Entstieg in ihrer Pracht
Die liebliche Jungfrau der Fluten
Empor zur ird'schen Nacht;

Und sehnsuchtsvoll streckt sie die Arme,
Die lilienarten, aus,
Den Jüngling hinunter zu ziehen
In Meereswellenbraus;

Und zaub'rishes Lächeln umschwebet
Der Lippen Purpurrot,
Und glühendes Feuer der Liebe
In ihren Augen loht:

Da stürzt er hinab in die Arme
Der Meeresjungfrau schön,
Er schaut ihr in's strahlende Auge
Und alle Schmerzen vergehn.

Es hat sich der Himmel umdüstert
Und einsam treibt der Kahn,
Und tief auf dem Grunde des Meeres
Liegt tot der Steuermann!

IN DER HEIMAT

Wieder steh' ich auf dem heil'gen Boden
Meines heissgeliebten Vaterlandes;
Wieder seh' ich seinen grauen Himmel,
Seine Berge mit den grünen Wäldern
Und der Seen spiegelhelles Antlitz.
Wieder hör' ich jene süßen Laute,
Jene Klänge meiner frühesten Jugend,
Die seit lange mir verstummt schon waren
Und nur manchesmal, wie Engelstimmen,
Leis und mild durch meine Träume bebten,
Als ich fern den heimatlichen Fluren.
O, es waltete das Schicksal grausam,
Dass es mich so früh hinausgestossen
In die fremde Welt, zu fremden Menschen,
Wo ich nie mich heimisch fühlen konnte,
Wo mir immer meine Heimat fehlte.
Und sie spotteten des armen Knaben,
Jene Menschen mit den kalten Herzen,
Wenn sein Auge sich mit Tränen füllte
Und sein Herz sich sehnte nach der Heimat,
Nach der Heimat, die für ihn verloren,
Wie das Paradies der ganzen Menschheit.
Und damit sein Land er ganz vergesse,
Jenes Land, das ihn geboren, hat man

Seiner Väter Glauben ihm entrissen,
Seiner Väter Sprache ihm entrungen,
Ihn gelehrt dem Vaterlande fluchen!
Glauben, Sprache konntet Ihr mir nehmen,
Doch mein Herz nicht aus dem Busen reissen
Und mein Herz blieb immer, immer polnisch!
Und ich hab' es immer tief empfunden
Jenes Weh, das auf uns Polen lastet,
Das Ihr Menschen mit der fremden Sitte
Über uns gebracht seit hundert Jahren;
Und ich fühl' es jetzt nur um so tiefer,
Da ich fremde in der weiten Fremde
Und auch fremd auf heimatlichem Boden.

Drum trockne die Trän' und harre aus,
Lass fahren Grillen und Sorgen!
Bald wird Polonia wieder erstehn,
Bald wird die befreiten Sarmaten umwehn
Der Freiheit rosiger Morgen!

TROST

Was zagst Du und weinst? Was härmst Du Dich?
Was soll Dein bitteres Leiden?
Was soll der Schmerz, der die Wange Dir bleicht,
Der Dir aus dem Busen die Ruhe verscheucht,
Der Dir vergället die Freuden?

Lass fahren dahin und harre aus,
Schnell ist der Wechsel der Zeiten,
Schnell rollt des Schicksals gewaltiges Rad,
Auf stürzenden Völkern bahnt es sich den Pfad,
Dem Stolzen Sturz zu bereiten.

Und wo die Vernichtung sonst gehaust,
Der Tod noch herrschte soeben,
Wo ew'ger Winter die Erde umhüllt
Und Stürme des Nordens vernichtend gebrüllt,
Da lässt es sprossen das Leben.

Und wo einst die Sonne Völker sah
Die unter Ketten geschmachtet,
Da weht der Freiheit besel'gender Geist,
Der duftige Blüten des Lebens noch weist
Von keiner Knechtschaft umnachtet.

WEISSER ADLER

Weisser Adler, sieggewohnter,
Freier Lüfte freier Sohn,
Weisser Adler, Du gesunken,
Du der Völker Spott und Hohn?
In den Staub hinabgestossen
Aus des Lichtes Ätherlöhen,
Weisser Adler, Sonnenlieblich,
Ach, wann wirst Du auferstehen?

Ach, die Zeiten sind entschwunden,
Teurerer, trauter Silberaar,
Da noch Deine freie Heimat
Das geliebte Polen war.
Da zwei Meere es umgrenzten
Und die freien Wälder rauschten,
Und der Steppe zarte Blümchen
Deinem Flügelschlage lauschten.

Da der Preusse überwunden
Noch vor Dir im Staube lag,
Und der Moskowiter zitternd,
Bebend Deinen Namen sprach;
Da Dein Schwert im wilden Kampfe
Auf des Türken Halbmond blitzte

Und Dein Volk Europas Staaten
Vor Erobrerhorden schützte.

Auf, gedenke Deines Ruhmes,
Spreng' der Fesseln ehern Band
Und umkreis' ein Freiheitsbote
Polens tiefgebeugtes Land.
Streb' empor im kühnen Fluge —
Auch Dein Volk wird sich erheben
Und mit sieggewohnten Waffen
Seine Freiheit keck erstreben.

DIE SCHIMKEN¹

Still und ruhig ist die Nacht,
Tausend Sterne prangen,
Und des Mondes goldne Pracht
Ist schon aufgegangen.

Und mit leisen Schwingen zieht
In die Stadt der Schlummer
Und vor seinem Szepter flieht
Sorge, Gram und Kummer.

Auf das Wasser überall
Senkt sich Ruhe nieder,
Selten nur tönt Ruderschall
Von dem Pregel wieder.

Schweigend die Witinne² ruht,
Leise schwatzt die Welle,
Plätschernd rauscht vorbei die Flut
Hurtig, flüchtig, schnelle.

¹ So nennt man in Königsberg die polnischen Schiffer und Flösser aus Litauen; der Name ist wohl von dem Vornamen Szymek abzuleiten.

² Das Lastschiff — wicina.

Doch ins Schimkenfahrzeug zog
Nicht der Gott der Träume;
Lautes Leben toste noch
Durch die engen Räume.

Manch ein Liebesliedchen klang
Hell aus der Witinne;
Mancher Scherz und mancher Schwank
Heiterten die Sinne.

Doch wenn leis die Mitternacht
Auf den Wässern rauschet,
Kein Verräterauge wacht
Und kein Späher lauschet,

Sinken alle auf die Knie
Andachtsglühend nieder;
Leise, leise stimmen sie
An das Lied der Lieder:

Noch ist, tönt's aus ihrer Brust,
Polen nicht verloren,
Täglich noch wird Hoffnungslust
In uns neu geboren.

An der Wiege klang es uns
Aus der Väter Munde,
Und ein Trostlied wird es uns
In der Todesstunde.

Und wenn unsern Nacken schwer
Trifft des Russen Knute,
Und wenn seine Felder er
Netz mit unserm Blute,

Und wenn die Verzweiflung schier
Unser Herz will brechen,
Wagen, wagen leise wir
Dieses Lied zu sprechen.

Und in unsern Busen zieht
Hoffnung dann, die frohe,
Dass der Freiheit Tag erglüht
Bald uns wieder lohe.

Aber droben wohnt ein Gott,
Wie's die Priester lehren,
Der ja kennet unsre Not
Und muss uns erhören.

KLAGE

Dort draussen in der finstern Nacht
Kein heller Stern am Himmel lacht;
Der Sturmwind braust, tost hin und her
Und Wolken dräun * gewitterschwer.

So tost es auch in meiner Brust;
Es schwanden Freude hin und Lust,
Und bitterer Gram und heisser Schmerz
Erfüllen jetzt mein wundes Herz.

Es sank mein Vaterland dahin,
Das einst die Welt sah mächtig blühn;
Es schwand sein Glanz, es schwand sein Ruhm
Und seiner Freiheit Heiligtum.

Ob Warschaus Zinnen schwebt nicht mehr
Der weisse Adler hoch und hehr;
Kein Banner flattert sturmbewegt,
Das Polens heil'ge Farben trägt.

Und Wislas Stromgott rauscht und grollt
Und seine Flut er zürnend rollt,
Er schäumt wild auf, wenn über ihn
Die fremden Horden jauchzend ziehn.

* drohen.

Doch ewig nicht wird zürnen Der
Dort oben über'm Wolkenmeer;
Die Stunde kommt, es naht die Zeit,
Wo aufsteht Polens Herrlichkeit.

Dann greift mein Volk mit mächt'ger Hand
Zur Waffe für das Vaterland;
Dann glüht der Kampf, dann tost die Schlacht
Und Licht durchbricht die finstre Nacht.

Dann greif' ich auch nach meinem Schwert
Für Freiheit, für der Väter Herd,
Dann kämpft für seine Nation
Des Vaterlandes treuster Sohn.

Dort draussen in der finstern Nacht
Kein heller Stern am Himmel lacht;
Der Sturmwind rast, tost hin und her
Und Wolken dräun * gewitterschwer.

* drohen.

KRIEGERS ABSCHIED ¹

Leb' wohl, mein trautes Mädchen,
Mich ruft mein Vaterland;
Ich zieh' mit den Gefährten
Zum Kampfe rachenbrannt.
Und wenn den Feind verfolgend
Ich ferne bin von Dir,
Werd' ich doch nie vergessen,
Wie Du so teuer mir.

Was soll Dein tränend Auge?
Was quält Dich für ein Schmerz?
Dem Vaterland das Leben,
Dir aber, Lieb, mein Herz!
Du weisst ja, dass wir kämpfen
Für's heil'ge Vaterland:
Lass ab von Angst und Sorgen,
Uns schirmt des Höchsten Hand.

Dir weiht' ich meine Liebe,
Dir und dem Vaterland,
Das jetzt zum heil'gen Kampfe
Bewaffnet unsre Hand.

¹ Aus dem Polnischen.

Und sollte ich im Kampfe,
Im blut'gen, untergehn,
Verzweifle nicht, dort oben
Lacht uns ein Wiedersehn.

DIE ZIGEUNERIN ¹

Die Woge rauscht in goldnem Schimmer,
Es tobt der Wind mit wilder Macht;
Vom duft'gen Föhrenhaine blitzen
Zigeunerfeuer durch die Nacht.

Die Woge rauscht in goldnem Schimmer,
Der Sturm bewegt sein Flügelpaar;
Es tönen mächtig durch die Heide
Die Lieder der Zigeunerschar:

Frei ist der Adler in den Lüften,
Frei wiegt der Salm sich in der Flut,
Doch Niemand lebt in allen Landen
So frei, wie ein Zigeunerblut.

Frei kreist der Adler über Wolken,
Frei jagt der Hirsch im grünen Hain,
Doch frei, so frei wie ein Zigeuner,
Kann nur der Wind, der flücht'ge, sein.

„Verlass Dein Volk, verlass die Steppe
Und ziehe mit mir, braune Maid;
Ich geb' Dir Gold und Zobelpelze
Und alles, was Dein Wink gebeut“*.

¹ Nach Olizarowski.

* gebietet.

„Das Ross verlässt für goldne Ketten
Die Steppe nicht, die blum'ge Au;
Den freien Fels vertauscht der Geier
Nicht mit des Käfigs goldnem Bau!“

„Und höher schätzt als Zobelpelze,
Und höher noch als rotes Gold,
Das freie Kind der freien Steppe
Die Freiheit, die ihm lieb und hold“.

„Dir geb' ich Perlen, Diamanten
Und Teppiche aus Purpurstoff;
O komm mit mir; ein schönes Leben
Winkt Dir am reichen Königshof“.

„Auch ich hab' Perlen — meine Zähne;
Brillanten auch — mein Augenlicht;
Es flammt mein Auge gleich dem Blitze,
Der jäh die finstre Nacht durchbricht“.

„Die grüne Erde soll mein Teppich,
Mein Königsschloss die Welt nur sein!“
Frei kreist der Adler über Wolken,
Frei jagt der Hirsch im grünen Hain,

Frei wiegt der Salm sich in den Fluten;
Doch frei, so frei, wie flücht'ger Wind,
Ist auf der Flur, ist unter Zelten
Allein nur ein Zigeunerkind!

DES KOSAKEN KRIEGSFAHRT¹

Wirbelnd jagt der Wind den Staub auf;
Trauernd weilt im Laubwald Homon;
Bärt'ge Türken zu bekämpfen,
Schickt ihn fort die strenge Mutter.

Seine Schwestern bringen schweigend
Ihm die Waffen und sein Rösslein;
Nur die jüngste fragt ihn leise:
Kehrst Du bald zurück, mein Bruder?

Und mit Seufzen spricht der Bruder:
Höre, wann ich wiederkehre;
Auf den Fels im Laubwald werd' ich
Eine Handvoll Erde schütten.

Jeden Morgen sollst Du hingehn,
Um mit Tränen sie zu netzen;
Schwindet sie, dann hoffe fröhlich;
Bleibt sie, o, dann weine bitter!

Lang war Homon schon im Kriege,
Staub bedeckte rings die Erde:
Komm zurück, mein Sohn, Du teurer,
Deine Mutter will Dich küssen!

¹ Nach Olizarowski.

Deinen Sohn, Du arme Mutter,
Küsst der warme Steppenregen;
Seine Locken kämmt der Schlehdorn
Und der Sturm kost seine Leiche.

AUS KRANZ AN DER OSTSEE

I

Winter war's in meinem Herzen,
Kalter, eis'ger, lebensmüder;
Und erstorben war die Sehnsucht
Und der Quell der süßen Lieder.

Und ich war betrübt und traurig,
Wenn der Lenz auch um mich blühte,
Wenn der Himmel freundlich lachte
Und der Rose Purpur glühte.

Doch da zog auf einmal leise,
Leis und still, doch allgewaltig
In mein Herz die Macht der Liebe
Leben spendend vielgestaltig.

Und auf einmal ward es Frühling
Und die Sonne lachte wieder
Und es schmolz das Eis des Herzens
Und es klingt der Strom der Lieder.

Und es jauchzt mein Herz und jubelt,
Überlässt sich kühnen Träumen,
Denn es herrscht Dein schönes Antlitz
Mächtig jetzt in seinen Räumen.

II

Draussen mag das Leben tosen
Und sich schäumend überstürzen,
Mag der Mensch sein karges Dasein
Mit Genüssen reichlich würzen.

Mag er schwärmen beim Pokale,
Zierlich sich im Reigen winden,
Oder in dem Sturm der Zeiten
Freude und Genügen finden.

Ich begehrt' nicht solcher Freuden;
Mich nur zieht's zu Deinen Füßen;
Sitzen möcht' ich dort und kosend
Deine zarten Hände küssen.

Deine Hände möcht' ich küssen,
Süsse Reden mit Dir tauschen
Und entzückt dem holden Klange
Deiner schönen Stimme lauschen.

III

Lächelnd schaut der Mond hernieder
Aus des Himmels duft'ger Ferne;
In des Meeres stillem Antlitz
Spiegeln sich die goldnen Sterne.

Und die Nacht ist still und ruhig
Und es ruht die Welt, die grosse;
Leise flüstert nur der Westwind
Mit dem duft'gen Kelch der Rose.

Und Du fragst mich, Heissgeliebte,
An mein Herz Dein Köpfchen neigend,

Warum ich so still und traurig,
Warum ich so stumm und schweigend?

Meine Schmerzen zu begreifen,
Liebchen, bist Du nicht im Stande,
Denn Du hast ja eine Heimat,
Denn Du lebst im Vaterlande.

Und Dein Land ist gross und mächtig,
Reich und fruchtbar seine Auen,
Und der Freiheit goldner Schimmer
Leuchtet mild ob seinen Gauen.

Aber ich bin ein Verbannter,
Lebe fern vom Vaterlande,
Das die übermüt'gen Fremden
Eingezwängt in schwere Bande;

Das sie höhnen, das sie treten,
Das aus tausend Wunden blutet,
Das der Preusse meuchlings mordet
Und der Moskwiciner knutet.

O, wie soll ich dazu lächeln,
Fröhlich noch und heiter scheinen!
Wenn ich an mein Land gedenke,
Muss ich weinen, bitter weinen.

IV

Die Wolken ziehn am Himmel;
Es jagt der flücht'ge Wind;
Und düster, wie die Wolken,
Auch meine Träume sind.

Und öde, wie die Herbstflur,
Ist auch mein einsam Herz
Und wie Natur, die grosse,
Nährt es allein den Schmerz.
Denn, wie die flücht'ge Schwalbe,
Zog heim, die ich geliebt;
Dass wir uns nimmer sehen,
Hat mich so tief betrübt.
Das ist's, dass ich so traurig,
Drum weicht der Schmerz auch nicht,
Obwohl am Himmel wieder
Hell glänzt der Sonne Licht.

V

Und bist Du fern, und bist Du weit,
So weit, so weit von hier;
Es ist mein Herz, mein treues Herz,
Doch allezeit bei Dir.
Die Liebe, die es zu Dir hegt,
Besiegt den weiten Raum,
Und engelmild erscheint mir oft
Dein holdes Bild im Traum.
Es schaut mich an, es lächelt süß,
Wie einst in schöner Zeit,
Als auf die Flur der Blumen Pracht
Der duft'ge Lenz gestreut.
Da tönte hell der Lerche Lied,
Da rauschte still das Meer,
Da sah mein süßes Liebesglück
Der Sterne goldnes Heer.

Und bist Du fern, und bist Du weit,
So weit, so weit von hier;
Es ist mein Herz, mein treues Herz
Doch allezeit bei Dir.
Und rasen wild die Stürme auch,
Die mir Verderben dräun*,
Bleibst Du mir hold, bleibst Du mir treu,
Werd' stets ich glücklich sein.

1860

* drohen.

ES GEHT EIN LEISES SAGEN

Es geht ein leises Sagen
Durch's ganze Polenland,
Vom Felsgestad' des Pontus
Bis zu der Ostsee Strand.

Es geht ein leises Rufen,
Und freudig hört's das Land,
Dass Polens weisser Adler
Vom Schlummer auferstand.

Schon wetzt er seine Fänge,
Der todesmut'ge Aar;
Auf's neu erbleichet zitternd
Der Geier grimme Schar.

Und alle, die's vernommen,
Die rüsten sich zum Streit,
Und schärfen Schwert und Sense
Zum heil'gen Kampf bereit.

DIE GÖTTER

In des Äthers sonnigen Höhen ruhen
Hingestreckt auf schwellendem Pfahl die Götter,
Und die goldnen Räume durchtönt das alte
Lachen der Freude.

Hebe schwebt in lieblicher Anmut durch die
Reihen und kredenzt den Sel'gen Nektar,
Während Zeus dem Adlergeraubten süsse
Worte zuflüstert.

Unten auf der Erde indes — was kümmert
Dies die Ew'gen — ringet der Menschen Dasein;
Nagt der Hunger, bleichet das Elend ach, der
Sterblichen viele.

Spreizt das Laster stolz sich auf weichen Kissen,
Hochgeehrt, geschmücket mit Stern und Orden,
Und in seinen Armen erblasst die Tugend,
Welche vergeblich

Zu den Göttern betend gefleht und Hilfe
Suchend ihre Blicke gewandt nach oben,
Doch kein Retter nahet von dort und hilflos
Fällt sie zum Opfer.

Auf des Landmanns friedlichen Feldern tost der
Krieg, der Söldner blutige Rotte mordet,
Und der Wink des frevelnden Fürsten stürzt
Städte in Trümmer.

In den Kerkern schmachtet der Jugend Blüte
Und wer mehr, denn alles der Welt, geliebt das
Land der Heimat, büsst mit Verbannung oder
Asischem Eisfeld.

Wirr, wie einst beim Anfang der Welt das Chaos,
Walten durcheinander die Kräfte und es
Weicht das Licht, die Finsternis breitet aus den
Düsteren Schleier.

O, erwachet einmal noch, Gää's Kinder,
Wappnet Euch, Giganten, zu letztem Kampfe,
Und auch Du erstehe auf's neu vernichtend,
Schrecklicher Typhon!

Stürmt zum Himmel, Felsen auf Felsen türmend;
Stört aus süßem Taumel empor die Ew'gen,
Dass erschreckt ihr Auge erspähe all das
Elend der Menschheit!

DER VERBANNTEN¹

Im fernen Lande weilt der junge Krieger
Bei fremden Menschen, die ihn nicht verstehen;
In tiefer Sehnsucht schweifen seine Sinne
Zu seinen Freunden, zu der Heimat Höhen;
Und kommen Schwalben westwärts hergezogen,
So forscht nach Kunde er nach langem Harren:
Gewiss durchflogt Ihr Polens heil'ge Fluren;
Vom teuern Polen sagt, was Ihr erfahren!

Vielleicht habt Ihr in meiner trauten Heimat
Bei meinem Häuschen Euer Nest gegründet,
Bei meinem Häuschen nahe der Pilica,
Die sich durch Wald und schöne Täler windet.
Dort weilt mein Mütterchen allein, in Tränen,
Und denkt an mich, der ferne schon seit Jahren;
Ob sie noch hofft den Sohn einst zu umarmen?
Von meiner Mutter sagt, was Ihr erfahren!

Vielleicht auch waret Ihr an Wisłas Ufern,
Wohin mein Herz sich sehnt, das schwerkgebeugte,
Wo mir zuerst des Glückes Strahl geleuchtet,
Den Himmel mir ihr schönes Auge zeigte.

¹ Nach dem Polnischen.

O, denkt an mich noch immer die Geliebte?
Sind's ihre Seufzer, die vernehmbar waren
Im Windesrauschen, das von West gekommen?
Von meinem Liebchen sagt, was Ihr erfahren!

BOZE, COŚ POLSKĘ

Gott, der Du Polen durch so lange Jahre
Geschmückt mit Glanz und mit des Lorbeers Zweigen;
Der Du's geschirmt mit Deiner Allmacht Schilde,
Dass Unglück nicht es konnte niederbeugen:

Vor Deinem Throne knien wir betend nieder,
Das Vaterland, die Freiheit gib uns wieder!

Durch seinen Fall gerührt hast Du die Kämpfer
Geschützt, die sich der heil'gen Sache weihten;
Und selbst im Unglück — alle Welt bezeugt es —
Weisst stets Du neuen Ruhm ihm zu bereiten.

Vor Deinem Throne knien wir betend nieder,
Das Vaterland, die Freiheit gib uns wieder!

Den alten Glanz gib unsrem Lande wieder
Und segne die verwüsteten Gefilde;
Lass Glück und Friede wieder ihm erblühen;
Hör' auf zu strafen, Gott des Zorns, sei milde.

Vor Deinem Throne knien wir betend nieder,
Das Vaterland, die Freiheit gib uns wieder!

O heil'ger Gott, von Deinem heil'gen Willen
Hängt ab des ganzen Weltballs Sein und Leben;

O reiss' auf ewig Polens Volk aus Knechtschaft
Und segne mild der edeln Jugend Streben.

Vor Deinem Throne knien wir betend nieder,
Das Vaterland, die Freiheit gib uns wieder!

Gott, der Du mit gerechter Hand zertrümmerst
Die stolzen Szepter irdischer Gewalten,
Vereitle unsrer Feinde feindlich Trachten,
Lass Hoffnung nie in unsrer Brust erkalten.

Vor Deinem Throne knien wir betend nieder,
Das Vaterland, die Freiheit gib uns wieder!

O heil'ger Gott, durch Deiner Allmacht Wunder
Halt Schlacht und Morde ferne von den Deinen,
Und alle Völker wollest Du in Freiheit
Unter des Friedens mildem Fittig einen.

Vor Deinem Throne knien wir betend nieder,
Das Vaterland, die Freiheit gib uns wieder!

ABSCHIED

Und wieder ist der Lenz erwacht;
Die duft'gen Blumen blühen,
Und milder in des Abends Pracht
Des Himmels Sterne glühen.

Es lockt und winkt der duft'ge Hain,
Der West, mit leisem Kosen,
Und mächtig schäumt in's Tal hinein
Der Bach mit wildem Tosen.

Und auch die Lerche ist erwacht;
Sie lässt ihr Lied erschallen;
Und in der Wälder düstrer Nacht
Laut klagen Nachtigallen.

Doch zu des Frühlings Jauchzen nicht
Ertönen meine Klänge;
Die Zeit, die fordernd zu uns spricht,
Will Taten, nicht Gesänge.

Sie fordert wild der Waffen Schall,
Der Schwerter jähes Blitzen,
Und statt der Töne süssen Schwall,
Den Donner von Geschützen.

Drum, meine Lieder, jetzt ade!
Lebt wohl, ihr Harfentöne;
Es ruft des Vaterlandes Weh
Zum Kampf die treuen Söhne.

Drum auf, drum auf, das Schwert zur Hand!
Zerbrecht die Sklavenketten
Und lasst uns jetzt das Vaterland,
Das heilige, erretten.

ULAMKI

Reich belaubte, grüne Hügel,
Tannenhaine, Fichtenwälder
Spiegeln sich in ihrer Schönheit
In den Fluten der Gewässer,
In den Wassern grosser Seen,
Die Masurens Land durchziehen.....

Mit Wehmut in dem Herzen,
Mit Tränen in dem Blick
Denk' ich an meiner Kindheit
Glücksel'ge Zeit zurück,
Wo ich mit frohem Sinne,
So frei wie die Natur,
Durch Wald und Wiesen streifte
Und durch die blum'ge Flur.

IM HAFEN

Als ich durch Sturm und Wellen
Geschiff im leichten Kahn,
Gekämpft mit bösen Menschen
Und ihrem bösen Wahn,

Wie sehnte sich nach Ruhe,
Nach Frieden da mein Herz,
Nach einem stillen Hafen,
Wo nicht mehr tobt der Schmerz.

Jetzt liege ich im Hafen;
Mein Schifflein ach, versank;
Verschollen ist die Jugend
Mit ihrem heissen Drang.

Und Ruhe, tiefe Ruhe,
Die ich so oft erstrebt,
Zog ein in meine Seele,
Die stürmisch einst gebebt.

O Wellensturm, o Jugend,
Du wildbewegtes Meer,
Nach Dir, die jetzt entschwunden,
Wie sehn' ich mich so sehr!

SMIERC WŁADZIUNIA

Du bist dahin gegangen,
Wo keine Sonne scheint,
Du bist der Welt entflohen
Von allen tief beweint.

Dein Auge ist gebrochen,
Erloschen ist Dein Blick,
Kein Flehen ruft ein Lächeln
Auf Deinen Mund zurück.

Verstummt ist Deine Zunge
Und Deiner Stimme Klang,
Nicht tönt mehr durch die Räume
Dein froher, heitrer Sang.

Nicht streckst Du Deine Arme
Zu Deinem Vater aus
Und nie mehr pflückst Du Veilchen
Für's Mütterchen zum Strauss.

Nicht drückst Du Deine Lippen
Auf ihren trauten Mund,
Nicht kost Du mehr, wie damals,
Als Du noch warst gesund.

Jetzt ruhest Du im Grabe,
Du Deiner Eltern Glück;
Es gibt kein neuer Frühling
Dem Leben Dich zurück.

O dass Du uns verlassen,
Du liebes, gutes Kind,
Wir weinen, wenn vergeblich
Auch uns're Träne rinnt.

Wir weinen, ob vergeblich
Auch unsre Klagen sind,
Nie werden wir vergessen
Dich liebes, gutes Kind!

ENDE



INHALT

| | Str. |
|--|------|
| <i>Tadeusz Czapelski</i> : Rewindykator polskości | 7 |
| <i>Wojciech Kętrzyński</i> : Aus dem Liederbuch eines Germanisierten | 51 |
| In der Fremde | 53 |
| In der Kirche | 55 |
| An August Kuss | 57 |
| Lenz und Liebe | 61 |
| Ermunterung | 63 |
| Anakreon | 65 |
| Ständchen | 66 |
| Macht der Liebe | 67 |
| Das Mädchen vom Walde | 68 |
| Am Seeufer | 71 |
| Auf der Masovia | 72 |
| Liebeswonne | 74 |
| Das Küsschen | 76 |
| Lebe wohl! | 77 |
| Sonett | 78 |
| Abendlandschaft | 79 |
| Entschluss | 81 |
| Zweifel | 83 |
| Im Januar 1857 | 84 |
| Im Frühling | 86 |
| In der Neujahrnacht | 88 |
| Das Glöckchen | 90 |
| Die Betende | 91 |
| Das Madonnenbild | 92 |
| Gebet | 94 |



| | Str. |
|------------------------------------|------|
| Der Schiffer | 95 |
| In der Heimat | 98 |
| Trost | 100 |
| Weisser Adler | 102 |
| Die Schimken | 104 |
| Klage | 107 |
| Kriegers Abschied | 109 |
| Die Zigeunerin | 111 |
| Des Kosaken Kriegsfahrt | 113 |
| Aus Kranz an der Ostsee | 115 |
| Es geht ein leises Sagen | 120 |
| Die Götter | 121 |
| Der Verbannte | 123 |
| Boże, coś Polskę | 125 |
| Abschied | 127 |
| Ułamki | 129 |
| Im Hafen | 130 |
| Śmierć Władziunia | 131 |
